Sport

czwartek, 25 lipca 2024
NR 150 (17960)

Ukazuje się od 1945 roku

PARIS 2024

Już się dzieje

Sport 3104266024

Kompromitacja Śląska

Wielki zawód, tego prawie nikt się nie spodziewał: wicemistrz Polski w pierwszym meczu II rundy eliminacji Ligi Konferencji przegrał z Łotyszami.

To miał być dla Śląska łatwy mecz. Riga FC nie zamierzała jednak łatwo składać broni. Jest aktualnym wicemistrzem Łotwy i zdobywcą krajowego pucharu w sezonie 2023 (w tym kraju gra się systemem wiosna-jesień). Obecnie zespół prowadzony przez fińskiego szkoleniowca Simo Valakariego zajmuje drugie miejscu w tabeli. - W takich meczach musisz być w dobrej formie i my w takiej jesteśmy - zapewniał Valakari.



Jacek Magiera w Rydze nie mógł mieć powodów do radości.

Fot. PAP/EPA

To się nazywa dziubnięcie piłki

Mecz odbywał się na stadionie, który źle wspominają kibice Piasta. W 2019 roku gliwiczanie przegrali na nim 1:2 i odpadli. Mimo to zwolennicy Śląska podchodzili do słów trenera Rygi z uśmiechem, ten jednak zgasł im szybko. Gospodarze od początku zaatakowali. Już w 7 minucie łotewscy kibice oszaleli ze szczęścia: po dalekim podaniu senegalski napastnik Oussey-nou Niang sprytnie dziubnął piłkę, a ta wpadła do bramki obok zaskoczonego Rafała Leszczyńskiego. Bramkarz nie zrozumiał się z Mateuszem Żukowskim i właśnie to wykorzystał Niang.

Grający w koszulkach w biało-niebieskie pasy (a la Argentina) gospodarze poczuli się znacznie pewniej. Niang stwarzał wrocławianom problemy, kartkę za faul na nim zarobił Simeon Petrow.

Śląsk nie potrafił stworzyć groźnej sytuacji. Pierwszy rzut rożny wywalczył w 24 minucie. Po centrze głową uderzył Żukowski, piłka przeleciała ponad bramką. Atak pozycyjny w wykonaniu wrocławian był w tym okresie wolny i schematyczny. Jeszcze przed przerwą drugą kartkę zobaczył Peter Pokorny, który musiał ratować Śląsk po błędzie Jezierskiego. Słowak w ostatniej chwili nieprzepisowo powstrzymał kontrę gospodarzy. W pierwszej połowie Śląsk nie oddał ani jednego celnego strzału, Łotysze - trzy.

Żal straconej szansy

W przerwie Jacek Magiera, trener wicemistrzów Polski, dokonał dwóch zmian. Śląsk wreszcie ruszył, ale zmarnował idealną sytuację na wyrównanie. I-de-al-ną! To powinien być gol! Petr Schwarz uderzył z dystansu, bramkarz gospodarzy popełnił błąd, odbijając piłkę przed siebie. Dopadł do niej Sebastian Musiolik. Nowy napastnik wrocławian inteligentnie zagrał głową do Nahuela Leivy, Hiszpan przestrzelił jednak z bliskiej odległości! Z sektorów zajmowanych przez fanów Śląska dobiegł jęk zawodu...

Wrocławianie przyśpieszyli, mieli coraz większą inicjatywę. W 59 minucie Piotr Samiec-Talar strzelał wślizgiem, ale piłka przeleciała obok bramki. Drużyna z Wrocławia przejęła inicjatywę i chciała za wszelką cenę odrobić straty. Piłka właściwie bez przerwy znajdowała się na połowie gospodarzy, widać było, że Łotysze zaczynają jednak jedynie myśleć o obronie wyniku.

W 77 minucie szansę miał Musiolik, który po dośrodkowaniu Filipa Rejczyka z lewej strony, walczył o górną piłkę, ale faulował w ataku. Wrocławianie denerwowali się coraz bardziej i było to widać. Do końca nic nie wskórali...

Na szczęście jest jeszcze rewanż, 1 sierpnia o godz. 20.30 we Wrocławiu. W nim Śląsk może straty odrobić.

■ Riga FC – Śląsk Wrocław 1:0 (1:0)
1:0 – Niang, 7 min
RIGA: Matrevics - Erquiaga, Cernomordijs, Ngom, Jurkovskis - Galo, Jojić (72. Orosco), Babec - Niang (88. Regza), Reginaldo Ramires (88. Daskevics), Contreras (58. Mankenda). **Trener** Simo VALAKARI.
ŚLĄSK: Leszczyński – Żukowski (84. Petkow), Petrow, Szota (46. Rejczyk) – Samiec-Talar (72. Gerstenstein), Pokorny, Jezierski (46. Guercio), Schwarz, Leiva – Musiolik. **Trener** Jacek MAGIERA.
Sędziował Christian-Petru Ciochirca (Austria). **Żółte kartki:** Ramires, Niang - Petrow, Pokorny, Żukowski, Rejczyk

CZADOBLOG

Paweł Czado



My, futbolowa potęga

Wyjazdowe zwycięstwo, a właściwie nie zwycięstwo lecz czterobramkowa miazga w wykonaniu polskiej drużyny w rozgrywkach najważniejszego z europejskich pucharów, to rzeczywisty powód dumy. Nieważne, że w fazie wstępnej, w rundzie kwalifikacyjnej! Teraz chodzi jednak o to żeby ten szkarłatny płaszcz triumfu nie przysłonił dziurawej tuniki pod spodem.

***

Wynik Jagiellonii jest bezsprzecznie świetny i musi budzić szacunek - nawet jeśli litewski futbol klubowy bezdyskusyjnie należy do najsłabszych w Europie. Cieszmy się nim! Ostatni raz czterema lub więcej bramkami na wyjeździe podczas tych rozgrywek polska drużyna wygrała przecież w 1673 roku pod Chocimiem. A nie, przepraszam, korekta - było to w 2014 roku w Dublinie. Legia wygrała wtedy w II rundzie kwalifikacji z irlandzkim St. Patrick's Athletic Football Club. W fazie grupowej Ligi Mistrzów i tak jednak nie zagrała, choć nie przez słabą formę piłkarzy, ale beznadziejną działaczy. W kolejnej rundzie legioniści pięknie rozprawili się z Celtikiem. 4:1 u siebie i 2:0 na wyjeździe wygląda okazale. Już mniej kiedy 2:0 przerobimy na 0:3 z powodu... walkowera. Komisja Dyscyplinarna UEFA ukarała wtedy Legię walkowerem za występ Bartosza Bereszyńskiego w rewanżowym meczu, bo nie mógł on w nim wystąpić. Bereszyński nie został zgłoszony do II rundy eliminacyjnej i nie odcierpiał trzymeczowej dyskwalifikacji. Tym samym w IV rundzie eliminacji Ligi Mistrzów zagrali Szkoci, choć wyraźnie przegrali oba mecze. Legia pomogła obalić twierdzenie o szkockim pechu w piłce nożnej..

Ogółem w całych rozgrywkach Pucharu Europy Mistrzów Krajowych i jego sukcesorki Ligi Mistrzów - zdarzyło się wcześniej ledwie raz żeby polska drużyna wygrała 4:0. Legia uczyniła to w grze z IFK Goeteborg w 1970 roku. Zdecydowanie częściej zdarzały się bolesne lania tą różnicą bramek. Przegrywały 0:4 Legia ze Slovanem Bratysława w 1956 roku, Górnik z CSKA Sofia w 1966 roku, Ruch z PSV Eindhoven w 1975 roku, Szombierki znów z CSKA Sofia w 1980 roku, Lech z Athletikiem Bilbao w 1983 roku, Legia z Hajdukiem Split w 1994 roku, znów Legia z Rosenborgiem Trondheim w 1995 roku, Widzew z Parmą w 1997 roku, a i Wisła z Barceloną w 2008 roku (byłem na tym meczu)... Przykra lista, którą tworzą najlepsze przecież polskie kluby.

***

Rok temu na starcie Raków Częstochowa prawie równie okazale wygrał na wyjeździe z inną ekipą z Pribałtiki - estońską Florą Tallin (było 3:0), jednak do rozgrywek grupowych, które są marzeniem polskich klubów - dotrzeć już nie zdołał. Nie mówię już nawet o dalszych rozgrywkach pucharowych...

Oczywistą oczywistością jest, że historia, choć jest nauczycielką życia, nie gra przecież w piłkę. Liczy się tu i teraz!

A teraz Jaga w kolejnej rundzie zagra albo z norweskim Fotballklubben Bodø/Glimt (bilans z tym klubem polskich drużyn jest dodatni, w dodatku osiągnięty ostatnimi czasy), albo z łotewskim FK Rīgas Futbola Skola (nigdy nie graliśmy z tym klubem, co nie dziwi, bo powstał on dopiero w 2016 roku, z reguły jesteśmy surowym nauczycielem Łotyszy, choć pamiętać należy, że czasem można tam się potknąć, co uczynił choćby Piast w FC Riga w 2019 roku (byłem na tym meczu).

Lada moment w pucharach pokażą się kolejne nasze drużyny. Trzymajmy kciuki, żeby goniły w radości zwyciężania Jagiellonię, przynajmniej na początku... Tak się bowiem składa, że rozrzut poziomu klubowego w Europie jest znacznie większy niż reprezentacyjnego. Ciągle na naszym kontynencie są drużyny, które jesteśmy w stanie łoić. I dobrze, pod warunkiem, że nie popadniemy w samozachwyt... Tak czy inaczej - powodzenia!

Sport 3104266024

Tamci będą walczyć do ostatniego tchu

Mimo różnicy klas Legia nie ma zamiaru lekceważyć rywala z Walii.

Zdecydowana większość kibiców Legii obejrzy czwartkowe spotkanie z Caernarfon Town przed telewizorami. UEFA nałożyła na warszawski klub karę w związku z zachowaniem fanów podczas rywalizacji z AZ Alkmaar oraz Molde w poprzednim sezonie. Przez to stadion Legii będzie praktycznie pusty, bo klub nie może prowadzić sprzedaży wejściówek. Z tego powodu niezadowolony jest trener drużyny przyjezdnej. Richard Davies w rozmowie z walijskim oddziałem „BBC" stwierdził, że jest to niesprawiedliwe, że UEFA nie pozwala na wypełnienie sektora gości przy Łazienkowskiej.

Czwartek, 24 lipca, godz. 20.45
Legia Warszawa - Caernarfon Town F.C.
■ Sędzia Juri Frischer (Estonia)

Obowiązek do wypełnienia

Tak czy inaczej, z kibicami czy bez nich, mecz musi się odbyć. Warszawianie poważnie do niego podchodzą, o czym mówił Goncalo Feio podczas środowej konferencji prasowej. – Przede wszystkim musimy zrozumieć, jaki jest kontekst meczu. Dla rywali będzie to najważniejszy mecz w historii klubu. W związku z tym nie ma wątpliwości, że będą zaangażowani, że będą się „zabijać o piłkę". Jest to też najważniejszy mecz w karierze trenera i tych piłkarzy. Oczywiście jakościowo jesteśmy lepsi. Mamy swój obowiązek i nie chcemy od niego uciekać. Musimy wygrać dwa najbliższe mecze i awansować. Jesteśmy faworytem – powiedział szkoleniowiec.

Caernarfon swoje zaangażowanie pokazał już w pierwszej rundzie eliminacyjnej, gdy pokonał ekipę z Irlandii Północnej Crusaders F.C.

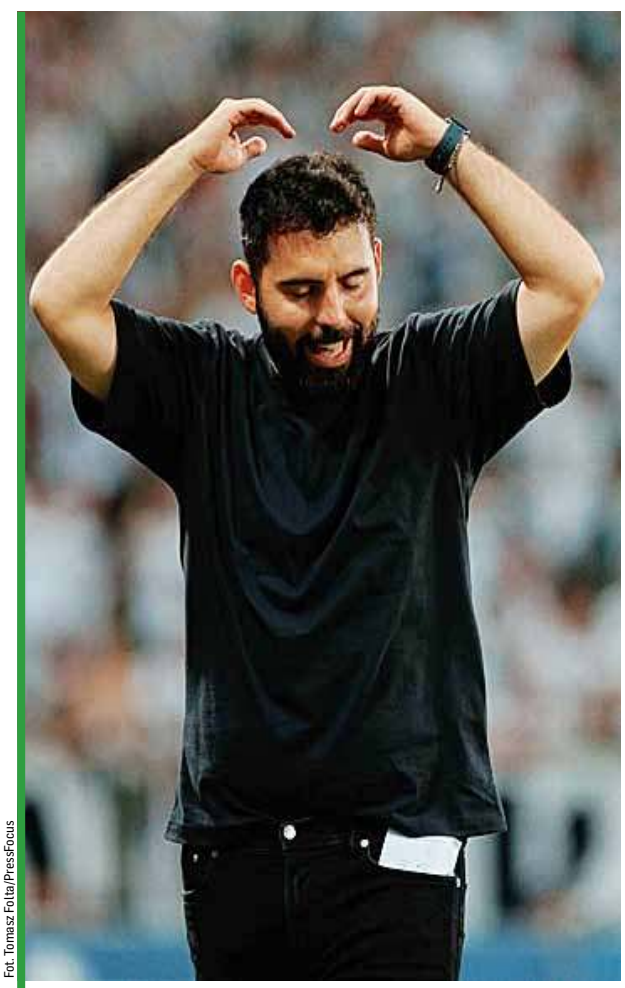
Przeanalizowani

Trener Legii pokazał również, że jego sztab – pomimo tego, że zespół ze stolicy jest zdecydowanym faworytem – poważnie przeanalizował rywala. - Walijczycy to zespół, który gra futbol, oparty o dużo pojedynków, o długie podania, o wygrywanie drugich piłek, o wykorzystanie chaosu. Mają szybkość w ofensywie w postaci Louisa Lloyda i Zacka Clarke'a. To lewoskrzydłowy i napastnik, którzy bardzo dobrze wbiegają w wolną przestrzeń. Podania śle im najbardziej doświadczony piłkarz, Darren Thomas. To jest drużyna, która wykorzystuje momenty dezorganizacji. Ma więc swoje atuty, także w postaci stałych fragmentów. Dwójka stoperów w poprzednim sezonie zdobyła łącznie 13 bramek. Jesteśmy jednak przygotowani do tego, żeby te atuty neutralizować. Przede wszystkim chcemy jednak narzucić swoje tempo, swoją jakość. To jest mecz, w którym powinniśmy zdominować przeciwnika – opisał najbliższego przeciwnika Legii Portugalczyk. W teorii piłkarze z Warszawy nie powinni obawiać się przeciwników, jednak w futbolu może wydarzyć się wiele.

Nsame się leczy

Na pewno na boisku nie zobaczymy Juergena Elitima, który doznał kontuzji kolana podczas letnich przygotowań. Nie zagra też Marco Burch, a kibice będą musieli poczekać także na debiut Jeana-Pierre'a Nsame. - Jeszcze nie będzie gotowy na ten mecz. W dalszym ciągu chodzi o sprawę mięśnia czworogłowego. Nsame chce grać, chce trenować, ale niestety – pomimo tego, że uraz się goi – dla pewności, że nie stracimy piłkarza na dłuższy okres, potrzebujemy jeszcze kilku dni – skomentował sytuację zdrowotną Kameruńczyka Goncalo Feio. Patrząc na to, jak Legia radziła sobie bez niego w miniony weekend w lidze, oraz na jakość najbliższego rywala, kibice i tak nie powinni się martwić o wynik pierwszego starcia w Europie. Szansę mają zresztą dostać niektórzy piłkarze, który w spotkaniu z Zagłębiem Lubin nie grali. - Będą małe roszady w składzie, które wynikają z różnych powodów. Wiąże się to z charakterystyką najbliższego przeciwnika, która jest inna niż poprzedniego, z zarządzaniem piłkarzami i grą co trzy dni oraz z formy zawodników, którzy ostatnio pokazali się z dobrej strony – zaznaczył Portugalczyk.

Kacper Janoszka



Fot. Tomasz Folta/PressFocus

Goncalo Feio po raz pierwszy poprowadzi zespół w europejskich pucharach.



Fot. Paulius Zidonis/Press Focus

Jesus Imaz (w środku z białą opaską na nadgarstku) dokonał na Litwie rzeczy wyjątkowej.

Imaz pierwszy w historii

Wyczyn Jagiellonii w Poniewieżu odbił się szerokim echem i wywołał w pełni uzasadnioną ekscytację.

JAGIELLONIA BIAŁYSTOK

W przeszłości nie brakowało bowiem kompromitacji polskich klubów w europejskich pucharach lub męczarni z zespołami o znacznie mniejszym potencjale. Tymczasem we wtorek Jagiellonia nie zostawiła FK Paneveżys żadnych złudzeń co do tego, kto jest zespołem lepszym. Litewskie media pisały o bolesnej porażce, końcu bajki, byciu poza zasięgiem, nierealnym scenariuszu odwrócenia losów rywalizacji w rewanżu. To zasługa całej drużyny mistrza Polski, którą do kapitalnego zwycięstwa 4:0 poprowadził Jesus Imaz.

Celuje w Ligę Mistrzów

– Bardzo się cieszę z mojego występu. To był niesamowity mecz i bardzo ważne zwycięstwo. Jesteśmy o krok bliżej od kwalifikacji co najmniej do Ligi Konferencji, ale chcemy więcej. Z optymizmem patrzymy w przyszłość i chcemy grać w Lidze Mistrzów – powiedział podbudowany Katalończyk. Imaz w wieku 33 lat zadebiutował w pucharach, a dzięki hat trickowi zrównał się z najskuteczniejszymi do tej pory zawodnikami „Jagi" w rozgrywkach europejskich. Również trzy gole strzelili Taras Romanczuk, Przemysław Frankowski oraz Patryk Tuszyński. – To miłe być częścią historii Jagiellonii. Moje bramki były bardzo ważne dla zespołu, a skompletowanie hat tricka to coś niewiarygodnego. Gra w Lidze Mistrzów to moje marzenie – wspomniał jeszcze raz prestiżowe rozgrywki były piłkarz m.in. Wisły Kraków.

Imaz jak Lubański

Co więcej, Imaz został pierwszym obcokrajowcem w historii Ligi Mistrzów/Pucharu Europy (wliczając w to rzecz jasna eliminacje), który strzelił 3 gole w jednym meczu w barwach polskiego klubu. Wcześniej takiej sztuki dokonało czterech zawodników. Pierwszym był Włodzimierz Lubański w 1972 roku, kiedy Górnik Zabrze pokonał 5:0 maltańską Sliemę Wanderers. Legendarny napastnik potrzebował do tego ledwie 14 minut, co jest rekordem, który teraz wyrównał snajper z Białegostoku. 10 lat później 3 gole w 33 minuty strzelił dla Widzewa przeciwko Hibernians Marek Filipczak. W 1997 roku hat tricka również w barwach w barwach Widzewa skompletował Piotr Szarpak, potrzebując 70 minut, by trzykrotnie trafić do siatki Neftchi Baku. W 2004 roku aż 4 bramki zdobył z WIT Georgia Tbilisi Przemysław Frankowski z Wisły Kraków, do strzelenia 3 potrzebując 22 minut.

Trener młodszy od gwiazdy

– Za tydzień musimy zamknąć tę rywalizację – zapowiedział Imaz, a w podobnym tonie wypowiadał się trener Adrian Siemieniec, który zaliczył nad wyraz udany debiut w europejskich pucharach. W Lidze Mistrzów (ściślej mówiąc – w jej eliminacjach) debiutowała również Jagiellonia, co było najlepszym pierwszym meczem w tych rozgrywkach w historii polskiego futbolu. W swoim debiucie Górnik Zabrze pokonał 4:2 Tottenham, a Lech Poznań 2:0 Athletic Bilbao. Poprzeczka była wówczas znacznie wyżej zawieszona, ale to wynik idzie w świat i kroniki. – Musimy zachować koncentrację i odpowiedzialność – ostrzegał trener pochodzący z Czeladzi. – Przez cały poprzedni sezon zapracowaliśmy na miejsce, w którym się znajdujemy i bardzo ten moment szanujemy. Skupiamy się na tym, co przed nami. Kolejnym celem jest starcie z Radomiakiem, po którym będziemy przygotowywali się do rewanżu – przyznał Siemieniec.

Szkoleniowiec pochwalił również kapitalny występ Imaza. – Jesus nie wyznacza sobie barier. Ciągle jest głodny piłki. Jest inspiracją nie tylko dla mnie, ale też innych młodych ludzi, którzy pragną grać w piłkę. To fantastyczny piłkarz i człowiek – powiedział Siemieniec, który jest od hiszpańskiego zawodnika... dwa lata młodszy.

Piotr Tubacki

Sport 3104266024

Gol mógł smakować lepiej

Pierwszym piłkarzem, który po 19 latach strzelił gola dla GKS-u Katowice, był Mateusz Marzec.

GKS KATOWICE

Skrzydłowy w poprzednim sezonie przeżywał wzloty i upadki. Na początku rundy jesiennej stracił miejsce w wyjściowej jedenastce. Wrócił do niej dopiero po rozpoczęciu zmagań wiosną i wtedy pokazał, że jest niezwykle ważnym elementem zespołu. Tylko w rundzie rewanżowej zdobył pięć bramek, które pomogły GieKSie w awansie do ekstraklasy. Teraz Marzec po raz kolejny musiał pogodzić się z rolą rezerwowego, bo podczas letnich przygotowań przegrał rywalizację z Borją Galanem. To właśnie Hiszpan, a nie Marzec, zagrał od pierwszej minuty w spotkaniu z Radomiakiem.

Galan nie prezentował się źle. Był aktywny w ofensywie. Był też przy okazji bohaterem jednej z kontrowersji, gdy upadł w polu karnym i wydawało się, że sędzia powinien podyktować rzut karny. Nowy nabytek jednak nie dał katowickiemu zespołowi tego, co Mateusz Marzec. Były piłkarz Podbeskidzia wszedł na boisko w 71. minucie i zdobył przepięknego gola, dając GieKSie nadzieję na doprowadzenie do wyrównania. Punktu nie udało się zdobyć, ale bramka 29-letniego skrzydłowego była jednym z elementów, które napawają optymizmem przed pozostałymi spotkaniami w sezonie. – Podjąłem szybką decyzję, piłka dobrze się ułożyła na nodze… Cieszę się z tego gola, ale cieszyłbym się bardziej, gdyby w Katowicach został chociaż punkt – opisał trafienie Marzec. - Przygotowywałem się myślami do tego meczu. Chciałem dać jak najwięcej drużynie. Fajnie, że ta bramka wpadła, ale szkoda wyniku – dodał piłkarz.

Zawodnik mógł z dwóch perspektyw oglądać spotkanie – najpierw z ławki, później będąc na placu gry. Jest więc jednym z tych, który dość trafnie będzie mógł zdiagnozować problemy drużyny, czyli utratę dwóch bramek w pierwszej połowie, a w efekcie porażkę. – Nie ustrzegliśmy się błędów. Przeciwnik stwarzał sytuacje, przy których mogliśmy się lepiej zachować… Strzeliliśmy bramkę i dążyliśmy do wyrównania, ale to się nie udało. Myślę, że brakowało nam trochę odwagi w akcjach ofensywnych – stwierdził na gorąco po spotkaniu skrzydłowy. Zaznaczył przy okazji, że GKS mógł na własnej skórze przekonać się o tym, że poziom w ekstraklasie jest wyższy od tego prezentowanego w 1. lidze. - Klasa piłkarzy Radomiaka była widoczna. Potrafili przyspieszyć w naszym polu karnym. My też mieliśmy momenty dobre i musimy skupić się na tym, żeby tych momentów było więcej i żeby poprawić skuteczność – powiedział Marzec.

2
BRAMKI w ekstraklasie zdobył Mateusz Marzec. Podczas swojej pierwszej kampanii w elicie, grając dla Podbeskidzia, pokonał bramkarza Zagłębia Lubin w listopadzie 2020 roku. Tamto spotkanie bielszczanie wygrali 2:1. Jego druga bramka, już w barwach GKS-u, zwycięstwa nie przyniosła.

Mimo porażki urodzony w Ozimku piłkarz przekonywał, że gra w ekstraklasie sprawia mnóstwo przyjemności. – To duża frajda – przekazał Marzec. Mógł przekonać się zresztą o tym po raz drugi, ponieważ wcześniej spędził sezon (2020/21) w ekstraklasowym Podbeskidziu. Z bielszczanami wywalczył awans, a w najwyższej klasie rozgrywkowej rozegrał 16 spotkań, siedmiokrotnie wychodząc na murawę od pierwszej minuty. Czy w bieżących zmaganiach będzie miał szansę, żeby znaleźć się w wyjściowej jedenastce?

Kacper Janoszka



Fot. PressFocus

Bramka Mateusza Marca była jedynie niewielkim pocieszeniem po premierowej porażce.

KONKURENT W BRAMCE

■ Bramkarz Rafał Strączek został nowym piłkarzem GKS-u Katowice. 25-letni golkiper przeniósł się na Bukową na zasadzie transferu definitywnego. Jego kontrakt obowiązywać będzie do 31 maja 2025 roku. Strączek przez ostatnie dwa lata reprezentował Girondins Bordeaux w Ligue 2. Klub zmaga się jednak z problemami finansowymi, przez co – pomimo utrzymania na drugim szczeblu rozgrywkowym we Francji – został zdegradowany do National 1 (trzeci poziom). „Żyrondyści" muszą jednak przedstawić plan naprawczy lub pozyskać nowego inwestora, żeby nie spaść jeszcze niżej. Strączek został więc wyciągnięty z tonącego okrętu, w którym zresztą w poprzednim sezonie grał regularnie tylko przez pół sezonu. W 16 meczach jesienią sześć razy zachowywał czyste konto. Po Nowym Roku stracił miejsce w pierwszym składzie. Strączek znany w Polsce jest przede wszystkim dzięki dobrym występom w Stali Mielec. To właśnie w tym klubie wypromował się na tyle, że zasłużył na transfer do Bordeaux. W ekstraklasie w Stali rozegrał 51 spotkań w latach 2020-2022. Teraz będzie głównym konkurentem o miejsce w składzie dla Dawida Kudły.

(kaj)

Będą kolejne transfery



Fot. Paweł Jaskółka/ Press Focus

Patrik Hellebrand to jeden z nowych w kadrze Górnika. W Poznaniu zawiódł.

- Planujemy zrobienie jeszcze jednego, maksymalnie dwóch transferów – mówi dyrektor sportowy klubu z Zabrza Łukasz Milik.

GÓRNIK ZABRZE

Za Górnikiem nieudany początek rozgrywek. W niedzielę w Poznaniu drużyna prowadzona przez Jana Urbana przegrała z faworyzowanym Lechem 0:2.

Lepsze finanse

Nie na taką inaugurację w Zabrzu liczono. W letnich sparingach wszystko wyglądało więcej niż poprawnie. – Jeszcze raz okazało się, że mecze sparingowe, a liga, to dwie zupełnie inne rzeczy – mówił podczas wtorkowego spotkania z władzami klubu Lukas Podolski.

Społeczny doradca zarządu Górnika i ambasador 14-krotnego mistrza Polski działa jak może - nie tylko na boisku, ale też poza nim. W ostatnim czasie przyprowadził do klubu, w którym przecież finansowo się nie przelewa, kolejnych dwóch sponsorów. – Dzięki temu na konto trafi pokaźna suma pieniędzy. Łukaszowi mocno trzeba podziękować za to działanie – chwali członek zarządu Górnika Bartłomiej Gabryś. Dodajmy, że od tego tygodnia zarząd klubu z Zabrza ponownie jest dwuosobowy, bo dokooptowano tam też Michała Siarę, pracującego w ostatnich latach w Rakowie Częstochowa. W Zabrzu, jak pod Jasną Górą ma odpowiadać za kwestie marketingowe, choć nie tylko. Na początek wypalił, że... zacząć trzeba od cięcia kosztów.

Klub na razie porozumiał się z ZUS-em, spłacił jedną z pożyczek i jak mówi Bartłomiej Gabryś - krok po kroku trwa uzdrawianie finansów. Jak się wszystko skończy zobaczymy, bo przecież zwykły kibic na wszystko będzie patrzył i tak w kontekście wyniku sportowego, a przed zespołem niełatwy kalendarz. W piątek kolejny wyjazdowy mecz w Krakowie, tym razem z Puszczą. Tydzień później gra z obecnym liderem ekstraklasy Pogonią na Stadionie im. Ernesta Pohla.

10
TYLU nowych zawodników trafiło do Górnika latem. Ósemka z nich to nowi gracze, w zdecydowanej większości zagraniczni, a dwaj którzy byli na wypożyczeniach (Wojtuszek i Zielonka).

Liczy na Nigeryjczyka

Być może w tych meczach sytuacja kadrowa górniczej jedenastki będzie lepsza, niż przed inauguracją. I nie chodzi wcale o zapowiadane przez dyrektora Milika ewentualne kolejne transfery czy transfer.

Z drużyną normalnie trenuje już Erik Janża, który po dobrym Euro z reprezentacją Słowenii potrzebował dłuższego wypoczynku. Trener Urban być może będzie mógł też liczyć na Taofeeka Ismaheela. 24-letni Nigeryjczyk choć był i jest w normalnym treningu, to w pierwszym meczu nie był jeszcze uwzględniony przez sztab szkoleniowy drużyny. Po tym co Górnik pokazał przy Bułgarskiej, teraz trener Urban raczej nie będzie miał wyjścia i będzie musiał skorzystać z usług „Tofika", jak nowego piłkarza ochrzcili kibice i koledzy w szatni.

Przy okazji wczorajszego spotkania przy Roosevelta pytaliśmy Lukasa Podolskiego, który z ewentualnie nowo pozyskanych przez zabrzan piłkarzy latem, może iść w ślady Daisuke Yokoty czy Lawrence Ennali. Ci dwaj przybyli do Zabrza jako anonimowi gracze, a odeszli do dobrych klubów za miliony euro. Mistrz świata z 2014 roku od razu wskazał na grającego w ostatnim czasie w belgijskim Beveren Taofeeka Ismaheela. Być może jego debiut nastąpi właśnie w piątkowej konfrontacji z Puszczą.

Kolejne transfery

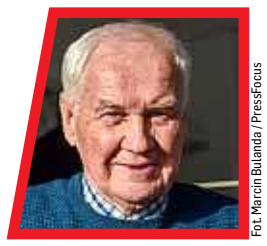
„Górnicy" planują tymczasem kolejne wzmocnienia. Mówił nam o tym dyrektor Łukasz Milik. - Planujemy jeszcze jeden, maksymalnie dwa ruchy. Teraz sytuacja jest już trudniejsza niż wcześniej, bo patrzymy na zawodników, którzy mają obowiązujące kontrakty, nie są to wolni gracze. Też wiemy, że poruszamy się w ramach określonego budżetu, więc tak staramy się negocjować, żeby były lepsze warunki dla nas, dla klubu. Nie powiem kiedy to będzie, ale do końca okna chcemy jeszcze jakieś ruchy poczynić. Na jakie pozycje szukamy zawodników? Tutaj nie będę mówił o konkretach, mówienie o tym, że szukamy zawodników do tej czy innej formacji, może spowodować nerwowość w szatni – mówi z uśmiechem dyrektor sportowy Górnika.

Michał Zichlarz

Sport 3104266024

Kiedy dali tego karnego, wyłączyłem telewizor

Rozmowa z **Henrykiem Latochą**, czterokrotnym mistrzem Polski z Górnikiem Zabrze



Fot. Marcin Bulanda / PressFocus



Piłkarze Górnika po przegranym mecz w Poznaniu.

Fot. Paweł Jaskółka/PressFocus

Górnik Zabrze nie zachwycił startem w nowym sezonie. Co go czeka dalej? Czego mu brakuje? Co powinno lepiej funkcjonować? No i jakie właściwie wrażenia po pierwszym meczu z Lechem w Poznaniu?

- Problemy wynikają z ilości roszad. Przed sezonem ściągnięto do Górnika dużo nowych zawodników, wielu odeszło (na razie pozyskano dziesięciu piłkarzy, tyle samo przeniosło się do innych klubów, przyp. aut). Obecność nowych graczy - nawet jeśli mają jakość - nie oznacza automatycznie, że drużyna będzie od razu dobrze grała, tym bardziej od początku sezonu. Jeszcze przed pierwszym meczem w Poznaniu dyskutowałem z Hubertem Kostką i doszliśmy do wniosku, że łatwo nie będzie. Żeby drużyna była rzeczywiście mocna, potrzebna jest personalna stabilizacja, czyli - krótko mówiąc - czas. Jeden, dwóch, maksymalnie trzech nowych piłkarzy przed sezonem łatwiej wkomponuje się w skład.
Tymczasem w Górniku zmiany w przerwie były przecież znacznie większe. Nowi grali w różnych klubach, preferujących często całkiem różny sposób gry. Muszą przyzwyczaić się do wymogów, często dla nich nowych, które stawia przed nimi trener Jan Urban. A zwłaszcza starsi zawodnicy mają już pewne przyzwyczajenia, z których trudno im zrezygnować. Młodych kształtować łatwiej, trzeba im podpowiadać, wskazywać braki, uczyć dobrych nawyków. A przecież dużo tych młodych zawodników w Górniku jest... Jako były obrońca zauważam, że pierwszym meczu z Lechem właściwie w ogóle nie było asekuracji. A dziś bez tego nic...

Co jeszcze panu nie podobało się w trakcie meczu z Lechem?

- Fakt, że było aż tyle niecelnych podań ze strony Górnika. A Lech nie grał nic nadzwyczajnego, muszę jednak przyznać, że na tle Górnika wyglądał dobrze. Ishaak, środkowy napastnik Lecha, jest groźny, ale na wiele mu jednak pozwolili.

Czego Górnikowi w tym meczu zabrakło?

- Zgrania, jego brak wynikał ze zmian, o których mówiliśmy. Brakowało zabrzanom też dokładności, z kolei jej brak wynikał z braku zgrania. Trener, wystawiając pierwszy skład, wybrał zapewne najlepszych zawodników na jakich było stać Górnika. On przecież widzi ich w codziennym treningu. A jednak to nie szło. Świadczy o tym również fakt, że w przerwie doszło do zmiany trzech piłkarzy (Patrika Hellebranda, Pawła Olkowskiego i Aleksandra Buksę zastąpili Filipe Nascimento, Nikodem Zielonka i Luka Zahović, przyp.aut.). Ogólnie to się jednak nie kleiło.

Wiele zmienił rzut karny dla Lecha przy stanie 0:0. Wielu kibiców uznaje, że nie powinien być przyznany. A pan jak uważa?

- Ręka była. Problem polega na tym, że w podobnych sytuacjach są różne decyzje. Tutaj Ishaak z Lecha chciał strzelić efektownie, ale nie trafił czysto. Piłka poleciała gdzie indziej i trafiła w rękę Kozukiego. Ja bym karnego nie dał, nie wiem, chyba nie jest jednoznacznie określone co to jest ręka, bo raz karny jest dyktowany, innym razem - nie...
Kiedy karny został przyznany - wierz mi, wyłączyłem telewizor i nie oglądałem dalej. Ja się tym przejmuję... Dopiero kiedy się uspokoiłem, puściłem sobie z odtworzenia... Znałem wynik i wiedziałem, że tego karnego Lech wykorzystał. To mogło mieć znaczenie dla przebiegu meczu, choć muszę jednak obiektywnie przyznać: Lech był lepszą drużyną. Lepszą choć nic specjalnego nie musiał pokazać. Zagrał na średnim poziomie, tym razem na Górnika to wystarczyło. Łatwo wygrał...

Chcę spytać o obrońców Górnika. Na lewej obronie wystąpił Kamil Lukoszek, w zeszłym sezonie bardziej skrzydłowy...

- Ja się dziwię. Jest bardzo ofensywny... Obrońcy Górnika potrafią grać w piłkę, ale popełniają błędy. Na przykład ten nowy Hiszpan Josema. Źle podawał do bramkarza, na szczęście ten w ostatniej chwili zdołał wykopnąć piłkę. Tak naprawdę żaden z zabrzańskich obrońców w tym meczu mi się nie podobał.

Poza tym wydaje mi się, że w Górniku brakuje takich defensywnych pomocników, że kiedy pojawiają się kłopoty oni są w stanie pomóc drużynie, poukładać. Górnik czy strzela, czy traci - generalnie gra tak samo. Nie ma zmiany sposobu gry.

A z przodu?- No, co ten Podolski miał zrobić? On siły nie ma tyle, żeby cały czas biegać. A piłek, z których mógł coś zrobić, dostawał mało. Niektóre przypadkowe, musiał za nimi gonić. A kiedy napastnicy się cofają gdy piłkę przejmuje rywal, to stoi wolny, a i tak nikogo nie kryją. To już lepiej żeby zostali na środku...

Trener Urban mówił potem, że Górnik był "bezzębny z przodu".

- Parę szarpnięć było. Ale to były raczej indywidualne próby, które nic nie przyniosły. Ale co miał zrobić nasz nowy środkowy napastnik Buksa? Jednego kiwnął, na drugim się zatrzymał... Wniosek jest taki, że trochę czasu potrwa zanim drużyna w tym składzie się dotrze. Na przykład ten młody zmiennik Zielonka. Po przerwie spisywał się dobrze, ale przecież nie ma pewności, że kiedy trener w następnym meczu wystawi go od początku to będzie tak samo.

Drugi mecz Górnik znowu gra na wyjeździe, tym razem z Puszczą Niepołomice. Jeśli przegra - zacznie się nerwówka.

- Zaczekajmy. Nie ma go co przekreślać. W zeszłym sezonie, też mówiło się, że może mieć kłopoty z utrzymaniem, ale sezon jest długi. Górnik na pewno będzie miał jeszcze dobre mecze. Dojdzie Janża. Problem polega na tym, że zbudować mocną, stabilną drużynę na dłuższy okres będzie miał trudno. Dlatego, że potrzebuje pieniędzy. Górnik jest w stanie wypromować jakiegoś piłkarza, po to żeby go potem sprzedać. Musi w tej lidze być, starać się, żeby nie bronić się przed spadkiem. Ale przy takich założeniach naprawdę silnej drużyny nie da się zrobić. Jan Urban jest niezłym trenerem, zobaczymy jak to pójdzie. Chodzi o to, żeby potrafił wyeliminować błędy, które popełnia drużyna.

Kto jest faworytem do mistrzostwa? Lech?

- Nie. Typuję Legię. Dlatego, że ma szeroką, wyrównaną kadrę. Rezerwowi, którzy wchodzą dają coś od siebie.

A Jagiellonia, obrońca tytułu?

- Trudno coś o niej powiedzieć. Okaże się później, zobaczmy najpierw jej występy w europejskich pucharach. Ona nie ma szerokiej, wyrównanej kadry, by radzić sobie dobrze na kilku frontach.
Ale generalnie kiedy patrzę na mecze w naszej lidze to wydaje mi się, że wszystkie drużyny grają dość podobnie, nie ma niczego zaskakującego. O wyniku często decyduje szczęśliwy przypadek, to czy wykorzystasz nadarzającą się okazję, bo wtedy inaczej się gra.

rozmawiał: Paweł Czado

HENRYK LATOCHA

■ **ur. 8 czerwca 1943 roku**

sukcesy: cztery mistrzostwa Polski (1966, 67, 71, 72), pięć Pucharów Polski (1968, 69, 70, 71, 72). 8 występów w reprezentacji Polski (1968-70). W 1970 roku wystąpił w finale Pucharu Zdobywców Pucharów.

■ **kluby**: Unia Bieruń Stary (do 1961), Piast Gliwice (1962-63), Górnik Lędziny (1963-65), Górnik Zabrze (1965-73), Rapid Wiedeń (1973), GKS Katowice (1973-76), Polyar Kittsee (1977-79), FC Gols (1979).

STARTY GÓRNIKA W LIDZE

KIEDY ROBIŁ MISTRZA
1957 - 2:1 z Legią Warszawa na wyjeździe
1959 - 1:2 z Górnikiem Radlin na wyjeździe
1961 - 4:1 z Zagłębiem Sosnowiec u siebie
1962/63 - 3:0 z Odrą Opole na wyjeździe
1963/64 - 1:0 z Odrą Opole u siebie
1964/65 - 2:0 z Gwardią Warszawa na wyjeździe
1965/66 - 3:2 z GKS-em Katowice na wyjeździe (na Stadionie Śląskim)
1966/67 - 1:4 z Legią Warszawa u siebie
1970/71 - 1:1 z GKS-em Katowice na wyjeździe
1971/72 - 2:2 z Polonią Bytom u siebie
1984/85 - 0:0 z GKS-em Katowice na wyjeździe
1985/86 - 6:0 z Zagłębiem Sosnowiec u siebie
1986/87 - 3:1 z Ruchem Chorzów u siebie
1987/88 - 3:1 z Górnikiem Wałbrzych u siebie

KIEDY SPADAŁ
1977/78 - 0:0 z Lechem Poznań na wyjeździe
2008/09 - 0:0 z Ruchem Chorzów u siebie
2015/16 - 1:1 z Wisłą Kraków na wyjeździe

Sport 3104266024

Mocna głowa Neugebauera

Beniaminek ekstraklasy podpisał nowy kontrakt z ukraińskim pomocnikiem, Iwanem Żelizko.

LECHIA GDAŃSK

W 1. kolejce nowego sezonu zespół z Gdańska postarał się o niespodziankę, remisując na wyjeździe z aktualnym wicemistrzem Polski, Śląskiem Wrocław. Jednym z bohaterów tego spotkani był 21-letni pomocnik gości Tomasz Neugebauer, który strzelił gola niemal z połowy boiska, lobując bramkarza Rafała Leszczyńskiego. - Oczywiście, że po tym meczu wciąż odczuwamy niedosyt - przyznał szczerze wychowanek Odry Centrum Wodzisław Śląski. - Mieliśmy dobre momenty, Śląsk też je miał. Ostatnie 10 minut to tylko rywale mieli piłkę, my wybijaliśmy i staraliśmy się bronić. Niestety, to się nie udało. Co mam więcej powiedzieć... Na wyjeździe pierwszy mecz, z wicemistrzem, gdzie dla większości naszych zawodników był to debiut w ekstraklasie. Zremisować z wicemistrzem Polski to też sztuka, ale powtarzam, odczuwamy niedosyt. Szanujemy jednak ten punkt, bo wiemy, że to jest bardzo trudny przeciwnik. Moja bramka? Oczywiście cieszę się z jej zdobycia, ale jeszcze bardziej bym się cieszył, gdybyśmy wygrali.

Piłkarz Lechii musiał zejść z boiska w 60 minucie, ponieważ przyjął na głowę soczysty strzał Mateusza Żukowskiego, który przez wiele lat był zawodnikiem biało-zielonych, trafił tam z Pogoni Lębork. - Jak do piłki podchodził „Żuko", to wiedziałem, że będzie mocny strzał - powiedział Tomasz Neugebauer. - Akurat, niestety, dostałem w głowę. Teraz wszystko jest w porządku, ale po uderzeniu piłki bolała mnie głowa. Próbowałem wrócić na boisko, lecz poczułem, że kręci mi się w głowie. Powiedziałem, że nie ma to sensu, nie ma co ryzykować. To był dopiero pierwszy mecz w sezonie, a ja chcę grać w piątek przeciwko Motorowi Lublin.

30 czerwca przyszłego roku Neugebauerowi kończy się kontrakt z Lechią i jeszcze nie jest przesądzone, że umowa zostanie prolongowana. - Toczą się rozmowy, jest pewien zapis w umowie, także na razie spokojnie.

W tym tygodniu Lechia przedłużyła kontrakt z 23-letnim pomocnikiem, Iwanem Żelizko. Ukrainiec dołączył do zespołu 1 sierpnia ubiegłego roku, podpisując umowę na dwa lata. Teraz działacze postanowili nie zwlekać z jej przedłużeniem, bo dzie obowiązywała do 30 czerwca 2028 roku. W poprzednim sezonie wychowanek Karpat Lwów był jednym z kluczowych zawodników biało-zielonych (rozegrał 27 meczów w 1. lidze, w których zdobył trzy gole) i walnie przyczynił się do powrotu gdańszczan do ekstraklasy. - Lechia stała się klubem mojego życia - powiedział po złożeniu „autografu" pod nowym kontraktem Iwan Żelizko. - Kocham to miasto, ludzi tutaj mieszkających, nasz stadion i oczywiście pasję okazywaną przez naszych kibiców. Wygrywajmy dalej i sprawmy, by ludzie byli dumni z naszej drużyny.

Zadowolony z przedłużenia współpracy z ukraińskim piłkarzem jest również prezes Lechii, Paulo Urfer. - Iwan jest nie tylko świetnym zawodnikiem, ale przede wszystkim niesamowitym człowiekiem - powiedział w przypływie szczerości sternik klubu z Trójmiasta. - Jego spokojne przywództwo i charyzma będą kluczem do naszych przyszłych sukcesów. Reprezentuje przyszłość Lechii i zgodziliśmy się podpisać to przedłużenie z klauzulą wykupu, która ochroni obie strony przed interesami klubów trzecich.

Bogdan Nather



Fot. Mateusz Porzucek/PressFocus

Tomasz Neugebauer (pierwszy z lewej) nie dokończył meczu ze Śląskiem Wrocław z powodu trafienia piłką w głowę.



Fot. Paweł Jaskółka/PressFocus

Szwed Alex Douglas „z marszu" wskoczył do podstawowej jedenastki poznańskiego Lecha.

Zagraniczne „rodzynki"

W letnim okienku transferowym do drużyny trenera Nielsa Frederiksena dołączyli dwaj piłkarze ze Skandynawii.

LECH POZNAŃ

W zwycięskim meczu z Górnikiem Zabrze (2:0) w „Kolejorzu" zadebiutowało dwóch nowych obcokrajowców. Tymi „rodzynkami" byli 23-letni szwedzki obrońca Alex Douglas, który rozegrał całe spotkanie, oraz o dwa lata młodszy napastnik Norweg Bryan Fiabema, który na murawie pojawi się dopiero w 86 minucie, zmieniając kapitana drużyny, Mikaela Ishaka. To obcokrajowcy nr 113 i 114, którzy założyli koszulkę ekipy z Bułgarskiej. Poprzednim „nowym" cudzoziemcem, który w niej zagrał, był Ali Gholizadeh. 28-letni Irańczyk w polskiej ekstraklasie zadebiutował 4 listopada ubiegłego roku w meczu z Ruchem Chorzów (2:0). Kilka dni wcześniej, 31 października, pojawił się na boisku w pucharowej potyczce z Zawiszą Bydgoszcz (4:0).

Wspomniany wcześniej Alex Douglas jest szóstym Szwedem, który pojawił się w „Kolejorzu". Wcześniej na taki krok zdecydowali się: Nicklas Barkroth, Mikael Ishak, Filip Dagerstal, Jesper Karlstroem i Elias Andersson. Tym samym Szwedzi zrównali krok z Serbami, a wyprzedzają ich tylko dwie nacje, Chorwaci i Ukraińcy, którzy „dostarczyli" Lechowi siedmiu piłkarzy.

Zaskoczony Szwed

- Wcześniej nie spodziewałem się, że zadebiutuję już w pierwszym meczu w tym sezonie - przyznał na lamach oficjalnej strony klubowej Alex Douglas. - Dowiedziałem się o tym dzień przed spotkaniem, ale byłem na to gotowy i wyszedłem na boisko bez tremy. Najważniejsze, że wygraliśmy, fajnie się grało przed kibicami Lecha, których sporo przyszło na trybuny.

21-letni Bryan Fiabema jest czwartym Norwegiem, który dołączył do drużyny z Bułgarskiej. Przed nim grali w niej Muhamed Keita iThomas Rogne, a obecnie jego kolegą klubowym jest Kristoffer Velde. - Bryan posiada odpowiednią szybkość i dynamikę, ma przy tym duży ciąg na bramkę, cały czas chce atakować pole karne przeciwnika - chwalił swojego nowego podopiecznego trener „Kolejorza", Duńczyk Niels Frederiksen. - Potrafi wywierać presję na obrońcach rywali, gdy budują swoje akcje i to też zobaczyliśmy przeciwko Górnikowi Zabrze.

Wykonał odpowiednią pracę

Fiabema pojawił się na Bułgarskiej dopiero w drugim tygodniu lipca. W pierwszym starciu z Górnikiem Zabrze dołożył swoją cegiełkę do zwycięstwa. Przy jednobramkowym prowadzeniu „Kolejorza" w końcówce spotkania młody napastnik starał utrzymywać się przy piłce na połowie gości, a także uniemożliwiać przyjezdnym konstruowanie akcji przez ich obrońców. - To było niezłe wejście, bardzo starał się wykorzystać swój czas na boisku - chwalił Norwega trener Frederiksen. - Bryan potrzebuje jeszcze nieco czasu na dłuższy występ, ale przed pierwszym meczem, po konsultacjach ze sztabem medycznym, wiedzieliśmy, że może zagrać przez pół godziny. Decyzję o wprowadzeniu go musieliśmy nieco opóźnić, bo na ostatnie blisko 20 minut pozostała nam tylko jedna przerwa w grze na zmiany. Wszedł jednak na plac ze świeżą energią i wykonał odpowiednią pracę. Może występować na pozycji napastnika, albo zawodnika ustawionego za jego plecami, czyli na „dziesiątce". Daje nam przy tym więcej opcji, bo jest w stanie zagrać także na skrzydle.

Kolejnym przeciwnikiem Lecha będzie Widzew Łódź, z którym zmierzy się na wyjeździe w najbliższą sobotę. Początek spotkania o godzinie 20.15.

Bogdan Nather

Sport 3104266024

Rossi na Okrzei?

Być może Maciej Rosołek, 22-letni napastnik z Łazienkowskiej, rozwiąże wkrótce spory problem Piasta z brakiem skutecznej „dziewiątki".

Maciej Rosołek zostanie najprawdopodobniej nowym zawodnikiem Piasta Gliwice. Nasze pytanie w klubie o transfer napastnika Legii Warszawa nie znalazło ani potwierdzenia ani zaprzeczenia. Za to przesądza o tym fakcie portal Legia.net, który zauważa, że Rosołek nie pojawił się już na wtorkowym treningu stołecznej drużyny i lada chwila zamelduje się na Okrzei. Ma zauważmy, że 22-latek znalazł się też poza kadrą meczową Legii w pierwszej kolejce Ekstraklasy na mecz z Zagłębiem Lubin. Zresztą w sparingach też nie dostawał szans od portugalskiego szkoleniowca Goncalo Feio.

Na straconej pozycji

– Miałem rozmowę z Maciejem. Powiedziałem mu: „Rossi, nie chcę cię stąd wypchnąć ze względu na to jakim jesteś profesjonalistą, że rozumiesz czym jest Legia i ją szanujesz. Dla twojego dobra, dobrze by było, byś poszedł do klubu, w którym będziesz pierwszoplanową postacią. A co się wydarzy dalej? Zobaczymy" – jakiś czas temu trener Feio tak przedstawiał własną szczerą rozmowę z zawodnikiem, dla którego nie widzi już miejsca w budowanej przez siebie silnej Legii.

Tymczasem „Rossi" początkowo nie godził się ze scenariuszem odejście z Łazienkowskiej i opuszczenie jego ukochanej Legii dla swojego dobra. Uważał, że da radę, wyjdzie obronną ręką nie tylko z walki o miejsce w kadrze Legii, ale i miejsce w drużynie. Odkąd jednak w kwietniu pojawił się w stolicy Feio, akcje wychowanka Pogoni Siedlce pikowały ostro w dół. Rosołek stał na straconej pozycji, a jego szanse na regularne występy przy Portugalczyku i silnej konkurencji w zespole, zwłaszcza po letnich wzmocnieniach trzeciej ekipy poprzedniego sezonu, były znikome. Praktycznie zerowe! Dlatego Rosołek i jego menedżer Mariusz Piekarski dostali w wojskowym klubie wolną rękę w szukaniu nowego klubu.

Vuko go chce

Ta sytuacja ambitnego napastnika nie zmartwiła nikogo w Gliwicach. Wręcz odwrotnie, bo przecież już pierwszy zremisowany mecz Piasta z Cracovią pokazał, że dojście do zespołu napastnika jest potrzebą chwili. Sympatycy Piastunek zauważali po inauguracji w Krakowie, że jak się nie strzela bramek, to trudno marzyć o trzech punktach. Mieli sporo uwag do Fabiana Piaseckiego. Przyznawali że jest silny, że potrafi znaleźć się w sytuacji podbramkowej, dochodzi do czystych pozycji, ale zauważali też, że licznik wpakowanych piłek do bramki rywali nie jest zbyt imponujący. Rosołek byłby antidotum na małą jakość gry w ataku i skuteczność gliwiczan. Wielkim zwolennikiem tego transferu jest trener Piasta Alexandar Vuković, który zna dobrze Rosołka, jeszcze z czasów, gdy sam pracował na Łazienkowskiej. Jak się wydaje to Serb posiadający także polskie obywatelstwo stoi za tym transferem. Szkoleniowiec nie ukrywa, że jest entuzjastą Rosołka.

– Pod koniec rundy jesiennej miałem kontakt z trenerem - mówił Rosołek w lutym w rozmowie z „TVP Sport". - Sondowałem możliwość przenosin do Piasta, bo dostrzegałem ciekawe możliwości. To była szansa na rozwój, a dodatkowo widziałem potencjał na większą liczbę spędzonych minut na boisku. Mogłoby to przekładać się na możliwość zdobywania większej liczby bramek. Sam szkoleniowiec odgrywał wielką rolę, bo mocno się starał, by ten transfer doszedł do skutku. Właściwie głównie dzięki niemu, to wszystko było realne.

Napastnik bez dobrej serii

Ogółem Rosołek rozegrał 101 meczów w ekstraklasie w Legii, zdobył 13 bramek. Wywalczył przy Łazienkowskiej cztery trofea – dwukrotnie mistrzostwo kraju (2020, 2021) i po razie Puchar Polski (2023) oraz Superpuchar (2023). - Rosołek jest w Legii tyle lat, ze względu na to, jakim jest profesjonalistą. Nikt nie może mu tego odmówić. Zawsze jest gotowy, zdrowy, robi wszystko, czego się od niego wymaga – i więcej. Wykonuje założenia najlepiej, jak potrafi. Jest motoryczny. Niezależnie czy gra czy nie, pracuje tak samo. Dzięki temu wszystkiemu, w każdym momencie jest przygotowany do rywalizacji, to jego wielka umiejętność – taką z kolei laurkę wystawiał chyba jednak byłemu już podopiecznemu trener Goncalo Feio w rozmowie z radiem RDC. Jednocześnie Portugalczyk dodawał. – Oczywiście, od napastnika wymaga się bramek, a on od dłuższego czasu nie może złapać dobrej serii. Należy też pamiętać, że był rzucany na różnych pozycjach. W tej chwili musi się odbudowywać, kluczowa jest dla niego liczba minut na boisku. Jeśli ona będzie, to wzrośnie mu pewność i pojawią się gole.

Zbigniew Cieńciała



Fot. Tomasz Jastrzębowski/Pressfocus.pl

Jeśli transfer dojdzie do skutku, Maciej Rosołek może liczyć na większą liczbę minut na boisku.



Fot. Sergio Ruiz/pressinphoto/SIPA USA/PressFocus

Położenie Joshui Kimmicha w Bawarii nie jest aktualnie komfortowe.

Niepewna przyszłość Kimmicha

Coraz więcej wskazuje na to, że przygoda reprezentanta Niemiec z Bayernem Monachium nie zakończy się happyendem.

NIEMCY

Wychowanek Stuttgartu jest piłkarzem Bayernu od dziewięciu lat. Szybko stał się jego ważnym ogniwem, a z racji wyjątkowo ambitnego charakteru równie szybko zaczęto w nim dostrzegać potencjał na klubową legendę. Kimmich zagrał dla FCB 390 razy. Zdobył z nim 8 mistrzostw Niemiec czy Ligę Mistrzów w 2020 roku, kiedy był kluczową postacią drużyny, dowodząc nią w środku pola. Tworzył tam kapitalny duet z Leonem Goretzką, który po tamtym tryumfie... zaczął jednak notować regres (przez który nie pojechał choćby na ostatnie Euro). Kimmich jeszcze się trzymał, ale także i on zaczął w końcu obniżać loty.

Co na to trener?

O potrzebie zmian w środku pola Bayernu mówiło się już ponad rok temu. Kiedy zespół objął Thomas Tuchel, natychmiast zażądał nowego defensywnego pomocnika, dzięki obecności którego miałaby się zmienić nieco rola Kimmicha w drugiej linii – co pozwoliłoby wydobyć pełnię jego możliwości. Tematu nie udawało się jednak zrealizować, a Niemiec coraz częściej zawodził. W marcu tego roku Tuchel postanowił przesunąć go na prawą obronę, gdzie mimo kilku transferów monachijczycy ciągle mieli jakieś problemy. 29-latek znał tę pozycję choćby z czasów współpracy z Pepem Guardiolą. Również jako prawy obrońca zagrał na Euro. Jedno z pytań dotyczących jego obecnej sytuacji w Bawarii brzmi, gdzie będzie widział go nowy trener Vincent Kompany. Niemieckie media spekulują bowiem, że może go... nie widzieć nigdzie.

Nie było miejsca

Klub w końcu sprowadził wymarzonego defensywnego pomocnika, którym już od roku był Portugalczyk Joao Palhinha. Kosztował 51 mln euro i zdaje się być pewniakiem do gry w podstawowym składzie. Mocne notowania ma także 20-letni talent Aleksandar Pavlović, który nie pojechał z Niemcami na Euro z powodu kontuzji. Zdaniem uznanego dziennikarza Tobiego Altschaeffla ze „Sport Bildu" Kompany wyobraża sobie środek pola FCB bez Kimmicha. Co więcej, również na prawej obronie wyżej w hierarchii ma sytuować Josipa Stanisicia, który na wypożyczeniu do Bayeru Leverkusen zdobył mistrzostwo Niemiec. Poza tym w kadrze Bayernu na tę pozycję są jeszcze Sacha Boey i Noussair Mazraoui (choć akurat tym ostatnim poważnie interesują się Manchester United i West Ham, a monachijczycy chętnie go oddadzą).

Muszą sprzedawać

O transferze Kimmicha plotkowało się już kilka miesięcy temu, ale wtedy były to tylko zwykłe mrzonki. Teraz sprawa robi się poważna, a media donoszą, że szefostwo jest w stanie sprzedać 29-latka, jeśli otrzyma godziwą ofertę. Za takim scenariuszem przemawia fakt, że kontrakt Niemca wygasa za rok i na razie nie zapowiada się na jego prolongatę. Bayern chciałby bowiem obniżyć zarobki Kimmicha o 25, a może nawet 50 procent, co nie uszczęśliwia samego pomocnika. Ten może więc przeczekać do końca umowy i odejść gdzieś za darmo w 2025 roku - czego wolałby uniknąć Bayern. Aktualnie zainteresowanie jego transferem przejawia PSG, ale Kimmich nie kwapi się do przeprowadzki do Paryża, także mając na względzie swoją żonę i czwórkę dzieci. Wcześniej mówiło się o Barcelonie, którą prowadzi od kilku tygodni Hansi Flick. To właśnie pod jego wodzą Kimmich grał najlepszy futbol w karierze i zdobył wspomnianą Ligę Mistrzów w 2020 roku.

Bayern wydał tego lata na transfery 145 mln euro, zarabiając tylko 12 mln. Prócz Palhinhy ściągnął m.in. skrzydłowego Crystal Palace Michaela Olise (53 mln), stopera Stuttgartu Hirokiego Ito (23,5 mln) czy 18-letni talent australijskiej Adelaide United Nestory'ego Irankundę (3,5 mln). Jego szefostwo jasno podkreśla, że by przeprowadzić kolejne wzmocnienia, potrzebne są dalsze sprzedaże. Prócz Kimmicha czy Mazraouiego niepewna jest przyszłość Matthijsa de Ligta, Leona Goretzki, Alphonso Daviesa, Serge'a Gnabry'ego, jak również Kingsleya Comana.

Piotr Tubacki

Sport 3104266024

Beniaminek zamiast mistrza

Tomasz Wójtowicz jednak nie trafi do Białegostoku. Wychowanek Ruchu zostanie najpewniej zawodnikiem Lechii Gdańsk.

RUCH CHORZÓW

Saga transferowa wokół wahadłowego „Niebieskich" trwa już od dłuższego czasu. Odkąd Ruch spadł z ekstraklasy, jasne stało się, że Wójtowicz będzie łakomym kąskiem dla ekstraklasowiczów. To inteligentny i ułożony zawodnik, z doświadczeniem w młodzieżowych reprezentacjach Polski, który potrafi zabezpieczyć właściwie wszystkie pozycje na obu flankach. No i najważniejsze – w ekstraklasie wciąż będzie traktowany w tym sezonie jako młodzieżowiec.

Agencja blokuje ruch

Negocjacje trwały za zamkniętymi drzwiami, aż w końcu okazało się, że – o czym pisaliśmy w „Sporcie" nieraz – na czele wyścigu znalazła się Jagiellonia Białystok. W „Dumie Podlasia" zrobiło się miejsce na lewej obronie po odejściu Bartłomieja Wdowika, a poza tym Wójtowicz był rozpatrywany jako zmiennik dla swojego rówieśnika, podstawowego prawoskrzydłowego mistrza Polski – Dominika Marczuka. Ruch nie robił problemów z transferem, ale informacji o podpisaniu kontraktu jak nie było, tak nie ma – i już nie będzie. Poszło o kwestie prowizji dla agencji menadżerskiej zawodnika, która miała na tyle wysokie oczekiwania, że Jagiellonia nie chciała ich spełnić. Podobnie było w przypadku Kajetana Szmyta.

– Tomek jest zawodnikiem uniwersalnym. Może grać na kilku pozycjach. Jest młody i z potencjałem, by przebić się do pierwszej drużyny. Trudno mi jednak powiedzieć, czy i kiedy do tego transferu dojdzie. Nie pierwszy raz interes agentów blokuje rozsądny dla wszystkich ruch zawodnika. Niezależnie od Tomka potrzebujemy zawodnika na lewe skrzydło i piłkarza na pozycję numer 10 – powiedział kilka dni temu w rozmowie z TVP Sport Wojciech Pertkiewicz, prezes Jagiellonii. – Mamy już porozumienie co do warunków. Sam zawodnik wydaje się też akceptować warunki indywidualne. Transfer blokuje agencja swoimi absurdalnymi oczekiwaniami. Dziwi mnie to, jak często zawodnicy sami na to pozwalają – dodał szef białostockiego klubu.

Znajomy rodem z Wodzisławia

Wiadomo było, że w grze o Wójtowicza pozostają też nieśląscy beniaminkowie. Walkę tę najprawdopodobniej wygra Lechia Gdańsk, która prócz spełnienia warunków agencji oferuje urodzonemu w 2003 roku zawodnikowi jeszcze jedną ważną rzecz – zdecydowanie większe szanse na grę w podstawowym składzie. Gdańszczanie mają najmłodszy skład w ekstraklasie (choć „Jaga" również do starych nie należy), chętnie stawiają na zawodników U-23. Pod tym kątem Wójtowicz będzie tam pasował idealnie, tym bardziej że spotka również swojego rówieśnika, z którym grał w Ruchu – pochodzącego z Wodzisławia Śląskiego Tomasza Neugebauera. To właśnie on w 1. kolejce ekstraklasy zdobył efektowną bramkę ze Śląskiem Wrocław, trafiając do siatki z połowy boiska.

Oczywiście nie brakuje żartów i pytań dotyczących płynności finansowej Lechii. W nadmorskim klubie w ostatnim czasie nie po raz pierwszy zdarzyły się bowiem obsuwy w płatnościach, a przez kilka tygodni Lechia nie mogła rejestrować nowych piłkarzy z powodu zakazu transferowego. Ten został jednak zdjęty, gdy gdańszczanie uregulowali wszelkie opłaty słowackiemu Rużomberokowi za transfer Tomasa Bobcka. Dzięki temu w końcu mogą działać na rynku, czego owocem ma być właśnie transfer Wójtowicza. Urodzony w Katowicach zawodnik udał się wczoraj na testy medyczne na północ kraju i ma podpisać z nowym zespołem trzyletnią umowę. Z tego, co usłyszeliśmy, Ruch na tym transferze zarobi siedmiocyfrową kwotę (w złotówkach).

Moneta kontra Karasiński

W I lidze Wójtowicz nie byłby już młodzieżowcem, ale i tak jego odejście to jakościowa wyrwa w zespole. Prawe wahadło obsadza Martin Konczkowski, natomiast na lewym o pierwszą jedenastkę będą rywalizować Łukasz Moneta oraz wypożyczony z Zagłębia Lubin młodzieżowiec Szymon Karasiński. 20-latek w meczu z Odrą w Opolu wszedł z ławki i w ok. 25 minut pokazał się z całkiem obiecującej strony.

Piotr Tubacki



Fot. Marcin Bulanda/Press Focus

Wyjaśnia się przyszłość Tomasza Wójtowicza.



Fot. Krzysztof Porębski/PressFocus

Łukasz Zwoliński w przeszłości mierzył się już z Rapidem.

Bez nadmiernego respektu

Przed Wisłą Kraków pierwszy poważny sprawdzian: na stadion przy Reymonta zawita wiedeński Rapid.

Po pierwszej, łatwiejszej rywalizacji w Lidze Europy z KF Llapi, Wisła zmierzy się z poważnym rywalem. Rapid Wiedeń przyjedzie do Krakowa, żeby zademonstrować swoją siłę. „Biała gwiazda" zdecydowanie nie jest faworytem spotkania, ale trener Kazimierz Moskal zaznacza, że jego zespół będzie próbował walczyć.

Jakim zespołem jest ekipa z Austrii? Przede wszystkim bardzo groźnym ofensywnie. Jej trenerem jest Robert Klauss, który swój warsztat szlifował w RB Lipsk, gdzie przez wiele lat był szkoleniowcem młodzieżowych grup, a w latach 2018-2020 był asystentem Ralfa Rangnicka oraz Juliana Nagelsmanna w pierwszej drużynie. – Grają bardzo ofensywnie, chcą grać wysokim pressingiem, mają dużo jakości. To zespół z charakterem, który wie, czego chce – opisał grę najbliższego rywala trener Moskal. - Mamy sporo materiału z różnych źródeł. Wiemy więcej niż o poprzednim przeciwniku KF Llapi. Wszystko wyjaśni się na boisku, bo rywale też nas analizują i pod to też przygotowują swoją taktykę – dodał szkoleniowiec.

Czy Wisła w starciu z takim przeciwnikiem będzie w stanie pokazać, na co ją stać, czy będzie tylko dostosowywać się do stylu gry rywala? - Chcielibyśmy grać „swoje", ale zdajemy sobie sprawę z tego, że Rapid jest bardziej wymagającym zespołem od KF Llapi. Zapewne będzie trudniej, ale trzeba próbować. Jeśli się nie spróbuje, nie będzie się wiedzieć, czy jest się w stanie rywalizować z silniejszymi zespołami – stwierdził 57-letni trener. Dla niego będzie to też wyjątkowe spotkanie. W końcu Moskal dołączył do zespołu latem, zastępując Alberta Rude. W tym sezonie nie prowadził zespołu jeszcze w ani jednym meczu ligowym, a w czwartek wieczorem będzie już po swoim trzecim spotkaniu w europejskich pucharach. - Jest to dla nas dobry moment, żeby zagrać przeciwko takiej drużynie. Nie będę musiał się specjalnie wysilać, żeby zespół zmobilizować. Ranga przeciwnika robi swoje. Lepiej czasem jest być kopciuszkiem i próbować. Tylko odwaga, która będzie w nas, spowoduje, że będziemy w stanie się przeciwstawić – zauważył Kazimierz Moskal.

Trener ma w talii jednego zawodnika, który w przeszłości mierzył się już z Rapidem. Łukasz Zwoliński dwa lata temu zdobył nawet gola, gdy jego Lechia przegrała dwumecz z wiedeńczykami w drugiej rundzie kwalifikacyjnej. - Z uwagi na tamto doświadczenie mogę śmiało powiedzieć, że drużyna nie była taka straszna, jak nazwa klubu. Pamiętam pierwszy mecz w Wiedniu, gdzie zagraliśmy ze zbyt dużym respektem. Później się okazało, że jest to zespół, z którym można rywalizować. Jestem przekonany o tym, że teraz będziemy walczyć jak równy z równym – powiedział napastnik, który do krakowskiego zespołu dołączył nieco ponad tydzień temu. Czy rzeczywiście Wisła będzie w stanie walczyć z Rapidem jak równy z równym, przekonamy się już dziś o godzinie 18.

Kacper Janoszka

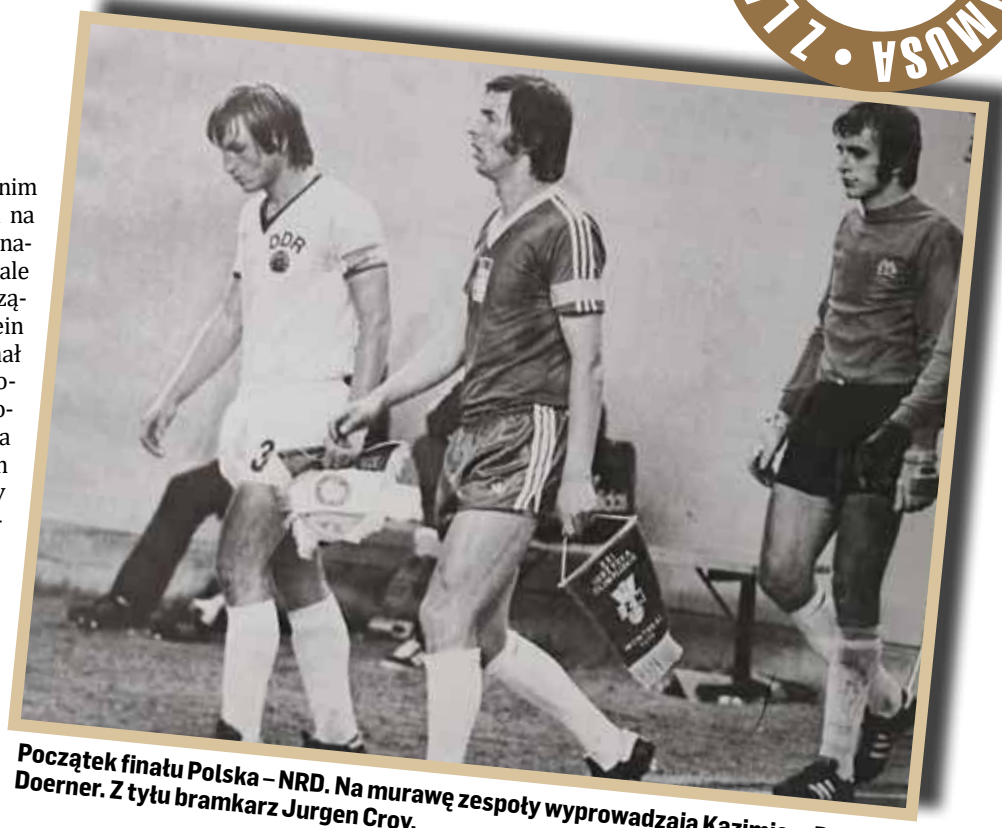
NA DEBIUT POCZEKAJĄ

■ Wisła Kraków, jeszcze chwilę przed czwartkowym meczem z Rapidem, wzmocniła się. Ledwie wczoraj pisaliśmy o nowym transferze „Białej gwiazdy", gdy klub podpisał kontrakt z Tamasem Kissem. Tym razem kontrakt z krakowianami podpisał Portugalczyk Frederico Duarte. Zawodnik ostatnie pięć lat spędził w Grecji, grając dla Panetolikosu na najwyższym szczeblu rozgrywkowym. W poprzednim sezonie był podstawowym elementem drużyny, grając w 30 spotkaniach, w których zdobył trzy gole i zaliczył dwie asysty. Może grać na wielu pozycjach, jako napastnik, skrzydłowy i ofensywny środkowy pomocnik. Jak zaznaczył trener Kazimierz Moskal -ani Kiss, ani Duarte nie znajdą się w kadrze meczowej podczas rywalizacji z Rapidem w Krakowie. Ponadto szkoleniowiec poinformował, że widziałby w kadrze jeszcze jednego nowego zawodnika, konkretnie środkowego pomocnika.

Sport 3104266024

Pozostał wielki żal

Srebrny medal olimpijski piłkarzy na igrzyskach w Montrealu w 1976 roku przyjęto jako... klęskę.



Początek finału Polska – NRD. Na murawę zespoły wyprowadzają Kazimierz Deyna i „Dixie" Doerner. Z tyłu bramkarz Jurgen Croy.

W środę na francuskich boiskach zaczęły się zmagania 16 zespołów w olimpijskim turnieju piłkarskim. Medale w futbolu przyznane zostaną już po raz 28. Piłka nie była obecna tylko podczas pierwszych nowożytnych igrzysk w Atenach w 1896 roku i podczas zmagań na IO w Los Angeles w 1932.

Wśród potentatów

Podkreślić należy, że piękną kartę w olimpijskim turnieju piłkarskim zapisali biało-czerwoni. Już przed wojną mogliśmy mieć medal. Byłby z pewnością może i złoty, gdyby nie „Przegląd Sportowy" i jego „afera" z Ernestem Wilimowskim. Jeden z najlepszych wtedy napastników na świecie przed berlińskimi igrzyskami w 1936 został zawieszony i do Niemiec nie pojechał. Tam skończyliśmy na czwartym miejscu, przegrywając mecz o brąz z Norwegami 2:3. Potem świetne czasy polskiego futbolu zwiastował olimpijski sukces i złoty medal w Monachium w 1972. Cztery lata później - jak w 1992 roku - było srebro. W tabeli wszech czasów piłkarskich zmagań na igrzyskach Polska jest wśród potentatów. Więcej razy w finałach od nas była tylko Brazylia (5 razy) oraz Węgry, Hiszpania, Argentyna i Jugosławia (po 4 razy). Teraz to odległa przeszłość.

48 lat temu biało-czerwoni walczyli na igrzyskach w Montrealu. Turniej za Oceanem nie był wolny od wielkich politycznych turbulencji. Polska znalazła się tam bez eliminacyjnych gier, jako obrońca tytułu, podobnie jak gospodarz Kanada. Mieliśmy rywalizować w grupie C z reprezentacjami Iranu, Urugwaju i Nigerii. Nic z tego jednak nie wyszło. Z montrealskich igrzysk wycofali się reprezentanci Afryki. Z gry w turnieju zrezygnował też Urugwaj. W jego miejsce miała grać Argentyna, potem Kolumbia, a ostatecznie zagrała… Kuba. W ogóle w piłkarskim turnieju zagrało raptem 13 zespołów.

CZY WIESZ, ŻE...

■ Królem strzelców turnieju w Montrealu był Andrzej Szarmach. Ówczesny napastnik Stali Mielec zdobył 6 bramek. Po dwa razy trafiał w grupowym meczu z Iranem, potem w 1/4 z KRLD i w półfinale z Brazylią. W ogóle Polscy piłkarze błyszczeli w turniejach olimpijskich, jeżeli chodzi o zdobywane gole. Gerard Wodarz z 5 bramkami był czołowym strzelcem igrzysk w Berlinie w 1936 roku. Potem królem strzelców piłkarskiego turnieju byli Kazimierz Deyna, wspomniany Szarmach i Andrzej Juskowiak. Ten pierwszy zdobył 9 goli podczas monachijskich igrzysk w 1972 roku, kiedy Polska zdobyła złoty medal. Z kolei Juskowiak 7 bramek nastrzelał podczas udanych dla nas igrzysk w Barcelonie w 1992.

My na początek zagraliśmy właśnie z Kubańczykami i o mały włos nie… przegraliśmy! Tymczasem w składzie naszej drużyny były przecież same znakomitości, medaliści mistrzostw świata sprzed dwóch lata na boiskach RFN: Jan Tomaszewski, Jerzy Gorgoń, Kazimierz Deyna, Henryk Kasperczak, Grzegorz Lato czy Andrzej Szarmach. Tymczasem nie umieliśmy sobie poradzić z olimpijskim debiutantem, będącym w piłce kopciuszkiem. Kiedy w II połowie na boisko wszedł okazały, bo mierzący 189 cm napastnik Roberto Pereira, nasi piłkarze nie potrafili sobie dać z nim rady. Po faulu Gorgonia na nim piłka wylądowała nawet w naszej siatce, ale na szczęście prowadzący mecz Abraham Klein z Izraela gola nie uznał (zadaniem obserwatorów niesłusznie). W kolejnej grze rozegranej na Stadionie Olimpijskim w Montrealu wygraliśmy 3:2 z Iranem i z pierwszego miejsca weszliśmy do ćwierćfinału.

Bezpieczeństwo ponad wszystko

Atmosfera w polskiej ekipie na igrzyskach w Montrealu była znakomita. – Jak wszyscy mieszkaliśmy w wiosce olimpijskiej. Co ktoś z naszych zdobywał medal, a tych medali było przecież wtedy sporo, to były takie apele, gdzie medalista był przedstawiany i odbierał gratulacje od szefa PKOL. Pamiętam młodziutkiego Jacka Wszołę, kiedy sensacyjnie zdobył złotu w skoku wzwyż. Na takim apelu był trochę wystraszony, stremowany. To są piękne wspomnienia... Igrzyska to zawody, gdzie zawsze ktoś wyskoczy, jak wtedy w 1976 Jacek Wszoła czy ostatnio nasz chodziarz Dawid Tomala – mówi dzisiaj Henryk Wawrowski.

26-letni obrońca Pogoni Szczecin przebojem wywalczył sobie wtedy miejsce w wyjściowej jedenastce prowadzonej przez Kazimierza Górskiego. Grał w każdym z 5 meczów igrzysk w Montrealu, a tylko raz, w wysoko wygranym spotkaniu 1/4 z KRLD został zmieniony przez Wojciecha Rudego.

- Tamte igrzyska pamiętam też z jeszcze jednego powodu, chodzi o kwestie bezpieczeństwa. Zanim dotarliśmy do wioski olimpijskiej, to przeszliśmy przez trzy kontrole. Tak samo było z naszymi bagażami. Po wiosce można się było poruszać tylko z identyfikatorami. Jeśli ktoś wioskę opuścił, to potem ponownie przechodził szczegółową kontrolę. Kiedy jechaliśmy na mecze, to z przodu i z tyłu siedzieli policjanci, my pośrodku. Nad wioską cały czas krążyły zaś helikoptery – wspomina lewy obrońca reprezentacji Polski. Kanadyjczycy nie chcieli dopuścić do tego, co stało się w Monachium cztery lata wcześniej, kiedy podczas ataku terrorystycznego zginęło 11 izraelskich sportowców.



Fot. Książka „Biało-czerwoni 1921-2018." Wyd. GiA

Polacy na igrzyskach w Montrealu. Od lewej Andrzej Szarmach, Grzegorz Lato, ciężarowiec Stefan Leletko oraz kolarze Stanisław Szozda, Jan Jankiewicz i Krzysztof Sujka.

Gorączka Tomaszewskiego

Po kiepskim początku turnieju polscy piłkarze rozkręcili się i po rozbici9u 5:0 KRLD w półfinale rozprawili się z amatorską reprezentacją Brazylii. U nas jak wiadomo grali wtedy sami „amatorzy". Tak było i w innych krajach demoludów, które przez lata zdominowały turniej piłkarski na igrzyskach, w których nie mogli grać zawodowcy z innych państw. Ta fikcja skończyła się wraz z upadkiem komunistycznego systemu. W drugim półfinale NRD prowadzona przez Georga Buschnera pokonała ZSRS 2:1. W zespole wschodnich Niemiec nie brakowało wtedy zdolnych graczy, był bramkarz Jurgen Croy czy legenda wschodnioniemieckiej piłki „Dixie" Doerner.

Finałowe spotkanie rozegrano w sobotę 31 lipca. Na Stadionie Olimpijskim był komplet 72 tys. osób. – Gdzie trzymam medal? Oczywiście na poczesnym miejscu w domu. Jest oczywiście radość z jego posiadania, z jego wywalczenia, ale jest też żal. Żal, bo wiemy, że mogło być lepiej i że mogło być złoto. To nie NRD było od nas mocniejsze, ale my w tym decydującym meczu zagraliśmy zwyczajnie słabo – mówi bez ogródek Henryk Wawrowski.

Co się na to złożyło? W naszym zespole były kontuzje, nie wszyscy byli zdrowi. W finałowym meczu nie mógł zagrać lider naszej obrony Jerzy Gorgoń. Jego miejsce na środku defensywy zajął Henryk Wieczorek. Zawalił też pewniak w bramce Jan Tomaszewski, ale o tym za chwilę.

- Z tym finałem to była dziwna sprawa. Początkowo miał być grany o godzinie 20. My byliśmy już na boisku, po czym... kazano nam z niego zejść. Nie skończył się wtedy jeszcze zdaje się maraton i trzeba było czekać **ostatecznie spotkanie rozpoczęło się o godzinie 21.45 – przyp. red.**. Potem weszliśmy na boisko i byliśmy przekonani, że złoto mamy już w garści, że jest już nasze. Niestety tak się nie stało. Żal że tak się to potoczyło – mówi z przygnębieniem w głosie Wawrowski.

PIŁKARSKA REPREZENTACJA POLSKI NA IO W MONTREALU

18 lipca 1976; Polska – Kuba 0:0
22 lipca 1976; Polska – Iran 3:2 (0:1)
25 lipca 1976; Polska – KRLD 5:0 (1:0)
27 lipca 1976; Polska – Brazylia 2:0 (0:0)
31 lipca 1976; Polska – NRD 1:3 (0:2)

Finałowy mecz jeszcze się naprawdę nie rozkręcił, a rywal po kwadransie już prowadził 2:0! Najpierw Tomaszewskiego pokonał Hartmut Schade, a potem Martin Hoffman. Po tym nasz pewniak między słupkami poprosił o zmianę!

– To było takie niepoważne. Przegrywamy dwoma bramkami, a Jasiu krzyczy że ma gorączkę. Na to trener Górski, że zmiana i do bramki wszedł Piotruś Mowlik. Było jeszcze bardziej nerwowo z tego powodu. Nie wiem, może faktycznie źle się czuł. Trudny temat to jest… Przegraliśmy przez głupotę i tyle. NRD-owcy na pewno nie byli od nas w tamtym czasie lepsi. Często tak z nami jest, mamy już w garści wróbla i zaczynamy go wypuszczać – nie może odżałować Henryk Wawrowski.

Zemsta ludowych władz

Skończyło się więc na niezadowalającym nikogo srebrnym medalu i… trzęsieniu ziemi. Mocno oberwało się trenerowi Kazimierzowi Górskiemu. Selekcjoner już wcześniej mówił, że żegna się z kadrą. Był dogadany z jednym z klubów w Kuwejcie, gdzie miał pojechać na kontrakt z kilkoma swoimi krajanami, też szkoleniowcami z przedwojennego Lwowa – jednym z nich był ówczesny trener Arki Gdynia Stefan Żywotko. – Po awansie do ekstraklasy z Arką zwolniłem się z pracy, a tu przyszła wiadomość, że żadnego wyjazdu nie będzie. Władze odmówiły wydania nam paszportów. Kaziu miał swój i pojechał potem do Grecji. Ja na zagraniczny wyjazd musiałem czekać przeszło dwa lata – opowiadał mi Stefan Żywotko na potrzeby książki „Ze Lwowa po mistrzostwo Afryki".

Michał Zichlarz

Sport 3104266024

PlusLiga stawia wymagania

Rozmowa z **Łukaszem Żygadło**, byłym reprezentantem kraju, obecnie dyrektorem sportowym Steam Hemarpol Norwid Częstochowa

Nie tak dawno był pan jeszcze czynnym zawodnikiem. Nie żal było skończyć z profesjonalnym graniem?

- Mam już 45 lat. To już nie dla mnie. Kariera ułożyła się, jak się ułożyła. Nie ma co narzekać. Wicemistrzostwo świata w 2006 r., złoto Ligi Światowej (2012), grałem w igrzyskach olimpijskich w Londynie (2012), mam w swojej kolekcji medale mistrzostw Polski, Grecji, Włoch, Turcji, Iranu i Kataru, wygrywałem Ligę Mistrzów, Klubowe Mistrzostwa Świata, mistrzostwa Azji... czyli sporo się tego nazbierało. Oczywiście, że mogłem osiągnąć więcej, ale gdy w październiku 2013 r., występując w Zenicie Kazań, doznałem poważnej kontuzji zerwania więzadeł i skręcenia stawu kolanowego, groziło mi zakończenie gry w siatkówkę. Przed pierwszą operacją usłyszałem od pani anestazjolog słowa, które zapamiętam do końca życia: jaki jest pański wyuczony zawód (Żygadło jest absolwentem Wydziału Zarządzania częstochowskiej Politechniki – przyp. red.), bo teraz będzie pan zarabiał w ten sposób. Byłem przerażony. Później miałem kolejną operację. Sezon został spisany na straty. Wróciłem jednak do gry i to z dobrym skutkiem. Najpierw występowałem we włoskim klubie z Trydentu, a potem w Iranie. Brałem też udział w nieudanym projekcie szczecińskim. Szkoda, że skończył się klapą, bo plany były bardzo ambitne. Potem wyjechałem jeszcze do Kataru. To miała być chwila, ale zaczęła się pandemia i z chwili zrobiło się trzy lata. Nie mogę narzekać i ogromnie się cieszę, że nie musiałem zajmować czymś innym. Do tego po zakończeniu kariery wciąż pracuję przy siatkówce. Mam z tego ogromną satysfakcję.



Fot. Rafał Rusek/PressFocus

Łukasz Żygadło sześć lat temu grał w Szczecinie, ale ten sportowy projekt okazał się kompletnym niewypałem.

Jak się zostaje dyrektorem sportowym i jak się pan w tej roli czuje?

- Było w tym trochę przypadku. Jestem mocno związany z Norwidem, bo należę do jednego z pierwszych roczników, który kończyły to liceum. Wtedy nie było jeszcze klas sportowych, ale już trenowaliśmy siatkówkę. Norwid był wówczas naturalnym zapleczem silnego AZS-u. Gdy Norwid występował jeszcze w I lidze, Krzysztof Wachowiak, dyrektor szkoły i jednocześnie prezes stowarzyszenia Norwid, starał się ze mną nawiązać współpracę. Na stałe wprawdzie mieszkam we Włoszech, ale często bywam w Częstochowie, bo moja działalność pozasportowa związana jest również z tym miastem. Widziałem jaki potencjał ma ten klub, bo miał i ma rozbudowaną piramidę sportową, od młodzieży po seniorów. Widziałem, jak ustawione jest szkolenie. Nie ma w tym przypadku. Klub miał potencjał, fajnych i oddanych sponsorów, którzy działali i działają niezwykle roztropnie, cierpliwie i wzmacniają jego siłę. Owocem tego był awans w 2023 roku do niezwykle wymagającej PlusLigi. Po awansie ponownie poproszono mnie o wsparcie i nie mogłem odmówić. Wróciłem więc do swoich korzeni. Ten projekt ma przyszłość i klub może jeszcze bardziej się rozwinąć. Młodzież ma nie tylko świetne warunki do zdobywania coraz wyższych umiejętności, ale również doskonałe wzorce, bo może się uczyć od starszych kolegów, występujących w jednej z najlepszych lig świata.

Poprzedni sezon dla beniaminka był niezwykle trudny, ale udało się utrzymać w PlusLidze. Wnioski z pierwszego sezonu w elicie?

- Był specyficzny i to z kilku względów. Przede wszystkim do budowy drużyny przystąpiliśmy dopiero w maju, gdy wiadomo było, że zagramy w PlusLidze. Wtedy większość zawodników miała już podpisane umowy i rynek był mocno przetrzebiony.

Wszyscy dookoła wieszczyli, że dla Norwida to będzie zaledwie roczny romans z PlusLigą. Trener Leszek Hudziak wraz z zawodnikami dokonali jednak sporego wyczynu i udało im się uniknąć spadku. Było wiele pięknych chwil jak wygrane z wyżej notowanymi ZAKSĄ Kędzierzyn-Koźle i Asseco Resovią. Paradoksalnie te zwycięstwa trochę zaburzyły naszą ocenę sytuacji. Wydawało nam się, że jesteśmy bardzo silni, że z zespołami teoretycznie niżej notowanymi występujemy w roli faworytów. A prezes Wachowiak wówczas mówił i jakby przestrzegał, że w lidze będzie jeszcze wiele cudów i niespodzianek. No i przegrywaliśmy, ale dopięliśmy swego i zaczynamy nowy rozdział w PlusLidze. Miejmy nadzieję – udany!

W okresie przygotowawczym nie obyło się bez problemów. Nagła rezygnacja trenera Igora Kolakovicia mocno zaburzyła plan?

- Oczywiście. Wieść o podpisaniu umowy z trenerem Kolakoviciem szybko się rozeszła i odbiła się sporym echem. To szkoleniowiec o uznanej renomie, selekcjoner reprezentacji Serbii. Nikomu nie trzeba go przedstawiać. Jest gwarantem odpowiedniej jakości pracy. Gdy okazało się, że będzie pracował w Norwidzie wielu siatkarzy wyrażało zainteresowanie grą w naszym zespole. Pewnego dnia odebrałem jednak telefon od jego menedżera. Mówił, że Igor otrzymał intratną propozycję z Ankary, postanowił z niej skorzystać i chciałby rozwiązać umowę z nami. Zachowaliśmy się po dżentelmeńsku i rozstaliśmy się ze szkoleniowcem, choć jego decyzja mocno pokrzyżowała nam krzyki. Na szczęście szybko znaleźliśmy następcę. Zdecydowaliśmy się – a ofert mieliśmy sporo - na zatrudnienie Brazylijczyka Cezara Douglasa Silvę, mającego za sobą pracę w swoim kraju nie tylko z klubowymi zespołami, ale również z reprezentacjami juniorskimi. Ostatnio prowadził zespół z Katanii we włoskiej Serie A2. Teraz w Norwidzie będzie obowiązywała więc brazylijska samba. Leszek Hudziak (dotychczasowy opiekun Norwida – przyp. red.) będzie jego najbliższym współpracownikiem, bo doceniamy to, co zrobił w poprzednim sezonie. Zapewne obaj będą zgodnie pracowali.

Trudno się buduje zespół, bo przecież pan jest jego głównym konstruktorem na zbliżający się sezon? Wydaje się być ciekawy...

- Kadra taka miała być (uśmiech). Chcieliśmy zostawić kilku zawodników, ale dodać również jakość. Młodość z charakterem, walcząca do końca, ale wsparta doświadczeniem. Cały czas przy każdej okazji powtarzam: chcemy rozwijać wychowanków, by decydowali o sile zespołu.

W poprzednim sezonie najskuteczniejszym zawodnikiem w Norwidzie był Dawid Dulski, jeden z najzdolniejszych atakujących w naszym kraju. Chcieliście go zatrzymać?

- Oczywiście, że tak. „Dula" w styczniu chciał jednak wiedzieć kto będzie trenerem w nowym sezonie i jaki będzie skład. Nie byliśmy w stanie odpowiedzieć na te pytania. Zresztą to co się dzieje na rynku transferowym w PlusLidze to istne wariactwo i nie powinno mieć miejsca, ale to opowieść na inną okazję. Dawid ostatecznie wybrał inny zespół, Stal Nysę. Po prostu takie jest sportowe życie.

W kadrze mamy jednak ciekawego atakującego z Czech, Patrika Indrę, mającego za sobą występy w lidze francuskiej. PlusLiga jest wymagająca, ale liczę, że on, jak i amerykański rozgrywający Quinn Isaacson, grający ostatnio też we Francji, szybko odnajdą się w naszej rzeczywistości.

Czy deklarowany awans do play offu jest realny? Konkurencja jest bowiem ogromna.

- To będzie niesłychane trudny sezon, bo przecież ligę opuszczą aż trzy zespoły. Od początku będzie walka o każdy set. Podczas rozmów we własnym gronie omówiliśmy wiele scenariuszy. Doszliśmy do wniosku, że nie stawiamy zawodnikom żadnych granic. Dajemy im dobre warunki do pracy, rozwoju ich talentu oraz trochę swobody w działaniu. Niech entuzjazm oraz fantazja ich poniosą jak najwyżej. Zobaczymy co z tego wyniknie, bo może się okazać, że osiągniemy dobry wynik. Jestem optymistą...

Rozmawiali
Michał Micor,
Włodzimierz Sowiński

Kolejne igrzyska dla Francji

Francji została w środę warunkowo wybrana na gospodarza zimowych igrzysk olimpijskich 2030 i musi teraz dostarczyć kluczowe gwarancje finansowe w terminie określonym przez Międzynarodowy Komitet Olimpijski – ogłosił MKOl.

Od czerwca preferowanym wyborem była oferta Alp Francuskich, ale ze względu na wybory i obecny rząd tymczasowy, Francja nie była w stanie zapewnić na czas niezbędnych gwarancji finansowych.

Prezydent Francji Emmanuel Macron przemawiał na sesji MKOl przed środowym głosowaniem, chcąc rozwiać wszelkie wątpliwości i wyrazić swoje poparcie dla kandydatury.

„Potwierdzam pełne zaangażowanie narodu francuskiego i zapewniam, że zwrócę się do przyszłego premiera, aby włączył do priorytetów nowego rządu nie tylko tę gwarancję, ale także ustawę olimpijską" – powiedział.

„Siedem lat temu podjęliśmy to samo zobowiązanie (w związku z letnimi igrzyskami w Paryżu - PAP) i wywiązaliśmy się z tego. Teraz zrobimy to samo" - dodał.

MKOl oświadczył, że otrzymał szereg zapewnień dotyczących gwarancji, w tym państwową gwarancję dotyczącą organizacji igrzysk olimpijskich oraz gwarancje finansowe dwóch zaangażowanych regionów – Auvergne-Rhone-Alpes i Prowansja-Alpy-Lazurowe Wybrzeże.

Olimpijska centrala oznajmiła jednak, że nie podpisze umowy z miastem gospodarzem dopóki nie zostaną dostarczone gwarancje.

Organizatorem zimowych igrzysk olimpijskich w roku 2034 będzie natomiast amerykańskie Salt Lake City. Miejsce wydarzenia zostało potwierdzone we środę w Paryżu przez MKOLiędzynarodowy Komitet Olimpijski. Podobnie jak Alpy Francuskie, które zostały wybrane na gospodarza igrzysk w 2030 roku, tak stolica stanu Utah, była wymieniana jako pewny kandydat do zatwierdzenia przez władzę wykonawczą MKOl już w połowie czerwca. Zimowe igrzyska odbędą się w USA po raz piąty. Dwukrotnie gościło je Lake Placid (1932 i 1980) i raz Squaw Valley (1960). Poprzednio Salt Lake City było organizatorem ZIO w 2002 roku. **(PAP)**

Sport 3104266024

Do czterech razy sztuka

Cyfra cztery nie działa aż tak na wyobraźnię jak to, że od moich pierwszych igrzysk do tych mija 12 lat – mówi ł Bartosz Kurek, kapitan biało-czerwonych, dla którego igrzyska w Paryżu będą czwarte w karierze.

REPREZENTACJA POLSKI MĘŻCZYZN


Artur Kraszewski/APPA/PressFocus

Bartosz Kurek liczy, że z przytupem zakończy reprezentacyjne występy.

Kurek zadebiutował w reprezentacji Polski w 2007 roku, mając niespełna 19 lat. 17 lat występów w niej było pasmem sukcesów, ale i rozczarowań. Jest drugim najbardziej utytułowanym polskim siatkarzem z dorobkiem 15 medali światowych imprez: pięciu złotych, czterech srebrnych i sześciu brązowych. O jeden więcej ma tylko libero Paweł Zatorski. Ma w dorobku krążki mistrzostw świata, Europy, Pucharu Świata, Ligi Światowej i jej następczyni Ligi Narodów. W kolekcji brakuje mu tylko olimpijskiego medalu. Czy wywalczy go w Paryżu, za czwartym podejściem? - Wierzę w to, że stać nas na zwycięstwo w igrzyskach. Wierzę w to, że zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy, żeby się do tej imprezy odpowiednio przygotować. Wierzę, że przed nami super trzy tygodnie i mam nadzieję, że zakończymy ten turniej z uśmiechami i może jeszcze jakąś błyskotką – mówił Bartosz Kurek, podczas olimpijskiego ślubowania.

Pierwsza próba

Smak igrzysk Kurek poznał w 2012 roku. Biało-czerwoni do Londynu jechali w roli głównych faworytów. W głównym sprawdzianie przed igrzyskami wygrali po raz pierwszy w historii Ligę Światową, a 23-letni wówczas Kurek został wybrany MVP turnieju finałowego.

Polakom się jednak nie powiodło. Grali nierówno i ostatecznie odpadli w ćwierćfinale trzeci raz z rzędu, dostając bolesną lekcję od Rosjan, późniejszych mistrzów olimpijskich, z którymi przegrali 0:3.

W kolejnym roku kryzys się jeszcze pogłębił. Nasi siatkarze spisywali się wyjątkowo źle, a zwieńczeniem była porażka w barażu o ćwierćfinał ME w 2013 roku z Bułgarią 2:3, których Polska była współgospodarzem.

Chwilowe rozstanie z kadrą

Kolejne igrzyska (Rio de Janeiro 2016) i kolejne rozczarowanie. Biało-czerwoni prowadzeni przez Stephane'a Antigę – w 2014 roku doprowadził ich do mistrzostwa świata – znów byli faworytami do medali. I ponownie zatrzymali się na ćwierćfinale, tym razem zatrzymani przez Amerykanów (0:3). Kurka przegrana nie złamała. Doskonale wiedział, co to porażka i jak z niej wyciągnąć wnioski. W 2014 roku Antiga na ostatniej prostej przygotowań do mistrzostw świata odsunął go od drużyny, bo miał być w słabej formie i „gwiazdorzyć", nie akceptując roli rezerwowego. Siatkarz już rok później ponownie był w kadrze, będąc jej wiodącą postacią. Grał wtedy już jednak nie na przyjęciu, lecz w ataku, przejmując pałeczkę po Mariuszu Wlazłym. Z dystansem podszedł więc do olimpijskiego niepowodzenia. - Ciężko mnie złamać, ciężko zabić we mnie ducha walki. Mimo bolesnej porażki, nie ma nad czym rozpaczać, świat się nie skończył. Mam nadzieję, że dostanę jeszcze szansę gry w reprezentacji, żeby pokazać, że możemy wygrywać razem - powiedział po odpadnięciu z igrzysk.

Francuska wtopa

Najboleśniejszy dla polskich siatkarzy był koniec olimpijskich zmagań w Tokio w 2021 roku. Biało-czerwoni ponownie jechali do Japonii jako faworyci, znowu jako mistrzowie świata, a sam Kurek - jako MVP rozgrywanego rok wcześniej mundialu. Polacy wygrali grupę, byli na dobrej drodze do strefy medalowej. Zamknęli ją im jednak Francuzi, mimo że ówcześni podopieczni trenera Vitala Heynena prowadzili w ćwierćfinale 2:1. Kurek stanął potem przed dziennikarzami i mierzył się z pytaniami o koniec kariery. - Zobaczymy, co przyniosą kolejne dni. Polska siatkówka nadal jest silna. Dziś zawiedliśmy. Przede wszystkim samych siebie. Myślę jednak, że mamy mocną grupę, młodych graczy, świetne zaplecze. Jeśli chodzi o mnie, to nie jest czas na podejmowanie takich decyzji. Fizycznie czuję się dobrze. Trudno przełknąć tę porażkę, więc zobaczymy co będzie, kiedy się to już uda - mówił 33-letni wówczas siatkarz.

Ostatnia szansa

Kurek występów w reprezentacji nie zakończył, choć kilku jego kolegów tak zrobiło, m.in. ówczesny kapitan Michał Kubiak. Nowy trener Nikola Grbić właśnie jemu powierzył rolę kapitana. - Jestem dumny z tego, że mały Bartek chciał pojechać na igrzyska jakiekolwiek, chociaż jedne, a udało mu się zostać członkiem ekipy cztery razy. Tym razem zamierzamy przywieźć trochę lepszy rezultat – zapewnił Kurek. - Na pierwsze igrzyska leciałem bardzo spokojny. Dopiero później zobaczyłem, z czym to się je. Do każdych przygotowywałem się z podobnym nastawieniem. Teraz czuję, że jestem w dobrym momencie kariery, czuję się dobrze. Przygotowania poszły bardzo dobrze. Patrząc na moją drużynę daje mi to dużo pewności siebie. Mam nadzieję, że każdy to wie, liczę na nich, ufam im i liczę, że każdy zrobi dobrą robotę. Wiem, że moi koledzy zrobią dobrą robotę, a ja po prostu będę musiał im nie przeszkadzać – dodał.

(mic)

Utrudnione przygotowania

Mistrzowie Polski w okrojonym składzie i bez trenera Marcelo Mendeza rozpoczęli przygotowania do nowego sezonu.

JASTRZĘBSKI WĘGIEL

Jastrzębianie pierwszy raz po letniej przerwie spotkali się w poniedziałek. W otwierających przygotowania zajęciach wzięli udział: Argentyńczyk Juan Finoli, Arkadiusz Żakieta, Jordan Zaleszczyk, Marcin Waliński, Mateusz Kufka i Jakub Jurczyk. Ten pierwszy, jedyny obcokrajowiec w tym gronie do hali przyjechał niemal wprost z lotniska. - Miałem problemy z lotami, podróż okazała się długa. Wiem, że dołączyłem do naprawdę wielkiego zespołu i dlatego oczekiwania mam wysokie – mówił dziennikarzom Juan Finoli. Rozgrywający będzie zmiennikiem Benjamina Toniuttiego. - To dla mnie miłe móc z nim pracować i wspólnie realizować cele klubu. Jestem tu, by pomóc zespołowi i Benowi również - zaznaczył siatkarz, który grał poprzednio w Belgii, Niemczech, Włoszech, Hiszpanii, a ostatnio w Rumunii.

Przyznał, że jednym z powodów przyjęcia oferty Jastrzębskiego Węgla była osoba rodaka, trenera Marcelo Mendeza. - Znam go, wiem, jak pracuje z kadrą Argentyny i ekipami klubowymi – powiedział.

W inauguracyjnych zajęciach zabrakło najlepszych zawodników, którzy ze swoimi reprezentacjami sposobią się do gry w igrzyskach olimpijskich: m.in. Tomasza Fornala, Norberta Hubera, Łukasza Kaczmarka, Benjamina Toniuttiego czy Luciano Vicentina. Zastępują ich młodzi adepci Akademii Talentów Jastrzębskiego Węgla.

Pod nieobecność trenera Mendeza siatkarze budują formę pod kierunkiem Leszka Dejewskiego i Henrique Furtado. Dejewski wyjaśnił, że sztab szkoleniowy jest w stałym kontakcie z Marcelo Mendezem, który poprowadzi Argentynę w igrzyskach. - Mamy plan, a dzięki chłopakom z akademii jest z kim trenować. Od kilku sezonów wygląda to podobnie. Dla akademików to korzystne, bo mogą poćwiczyć z pierwszym zespołem. To duży prestiż i honor mieć tylu przedstawicieli na igrzyskach. Nasz klub cały czas pnie się w górę, a te powołania do kadr świadczą o naszym wysokim poziomie sportowym - powiedział Dejewski.

W planie przygotowań Jastrzębskiego Węgla są treningi na własnych obiektach, sparingi, a także udział w turniejach towarzyskich. Jak co roku w tym czasie zespół będzie korzystał z obiektów miejskich: basenu, hali oraz boiska do siatkówki plażowej.

Jastrzębianie zainaugurują rozgrywki na wyjeździe z Barkomem Każany Lwów (13-15 września). Tydzień później odbędzie się oficjalna prezentacja zespołu połączona z meczem drugiej kolejki i jednocześnie pierwszym spotkaniem u siebie, z Asseco Resovią.

(mic)


Fot. Norbert Barczyk/PressFocus

Tomasz Fornal to jeden z wielu kadrowiczów, który do zespołu dołączy dopiero po igrzyskach olimpijskich.

Sport 3104266024

Oficjalnie: miksty bez Igi i Janka

„Efekt Hurkacza" potwierdzony, w rywalizacji znaleźli się za to Rosjanie...

Międzynarodowa Federacja Tenisowa (ITF) ogłosiła w środę skład 16 par mieszanych, które wezmą udział w olimpijskiej rywalizacji w mikście w Paryżu. Niestety, na liście nie ma polskiego duetu Iga Świątek – Jan Zieliński. Zdecydowała o tym bezkompromisowa decyzja Huberta Hurkacza, który po kontuzji kolana odniesionej na początku lipca w Wimbledonie w poniedziałek ogłosił wycofanie się ze startu na kortach Rolanda Garrosa.

Zieliński – wielkoszlemowy mistrz gry mieszanej tegorocznych Australian Open i Wimbledonu (w parze z Tajwanką Su-wei Hsieh) – nie mógł zostać zgłoszony tylko do miksta ze względów regulaminowych: w tej rywalizacji mogą wystąpić tylko tenisiści, którzy mają odpowiednio wysoki ranking singlowy lub pary z wysokim rankingiem deblowym.



Fot. PAP/Adam Warżawa

No i gdzie ten Janek...? Iga Świątek trenuje w Paryżu, gdzie wystąpi tylko w singlu.

DO IGRZYSK 1 DZIEŃ

Rezygnacja Hurkacza przekreśliła nadzieje Zielińskiego na udział w choć jednej z dwóch konkurencji w parach. Polski Związek Tenisa wystąpił do ITF o przyznanie parze Świątek – Zieliński „dzikiej karty", ale został on odrzucony.

Według informacji „Sportu" do włączenia Zielińskiego do reprezentacji Polski wystarczyło, by Hurkacz poleciał do Paryża i zgłosił się w parze z Zielińskim do rywalizacji w deblu, który zostałby następnie rozlosowany w drabince. To pozwoliłoby Zielińskiemu wystąpić w mikście z Igą Świątek. „Hubi" miał o tym wiedzieć przed podjęciem decyzji o rezygnacji.

Podobny los do Polaków spotkał duet duński Karolina Woźniacka – Holger Rune. ITF postanowił za to zakwalifikować do rywalizacji Rosjan Mirrę Andriejewą i Daniiła Miedwiediewa.

Wśród 16 duetów rozstawieni z numerem 1 w Paryżu zostali Niemcy, których reprezentować będą złoty medalista olimpijski z Tokio w singlu Alexander Zverev oraz świetna deblistka Laura Siegemund. Z „dwójką" przystąpią Amerykanie Coco Gauff i Taylor Fritz, z nr 3 Australijczycy Ellen Perez i Matthew Ebden, a z „czwórką" Grecy Maria Sakkari i Stefanos Tsitsipas.

Turniej gry mieszanej rozpocznie się w poniedziałek 29 lipca; wystarczy wygrać dwa mecze, by znaleźć się w strefie medalowej.

Tomasz Mucha



Fot. instagram.com/teampl/

Zaślubiona

Iga Świątek to pierwsza członkini reprezentacji Polski na zbliżające się igrzyska, która ślubowała w Domu Polskim w Paryżu. Naszą świetną tenisistkę i jej sztab powitał szef misji olimpijskiej Tomasz Majewski. To drugi olimpijski występ Igi, przed trzema laty w Tokio odpadła w 2. rundzie z Hiszpanką Paulą Badosą. Teraz będzie naszą kandydatką do złota i faworytką rywalizacji na kortach ziemnych Rolanda Garrosa, gdzie wygrała 4 z ostatnich pięciu turniejów Wielkiego Szlema.

Kolejne ślubowania w Domu Polskim w Paryżu odbędą się w piątek, w dniu ceremonii otwarcia igrzysk. Weźmie w nich udział prezydent RP Andrzej Duda, a jedną ze ślubujących będzie trzykrotna mistrzyni olimpijska w rzucie młotem i chorąża reprezentacji Anita Włodarczyk.

(t)

DZIŚ I JUTRO NAD SEKWANĄ

Czwartek, 25 lipca

ŁUCZNICTWO
9.30 runda rankingowa kobiet indywidualnie (Wioleta Myszor), 14.15 runda rankingowa mężczyzn indywidualnie

PIŁKA NOŻNA KOBIET
17.00 Hiszpania - Japonia (gr. C), Kanada - Nowa Zelandia (gr. A), 19.00 Nigeria - Brazylia (gr. C), Niemcy - Australia (gr. B), 21.00 Francja - Kolumbia (gr. A), USA - Zambia (gr. B)

PIŁKA RĘCZNA KOBIET
9.00 faza grupowa

RUGBY 7 MĘŻCZYZN
14.00 faza grupowa, 20.00 ćwierćfinały

Piątek, 26 lipca

19.30 CEREMONIA OTWARCIA

Mecz przerwany, gol anulowany

Już w pierwszym meczu piłkarskim podczas igrzysk doszło do ogromnych kontrowersji.

Niewątpliwym hitem pierwszego dnia piłkarskiego turnieju olimpijskiego miało być starcie Argentyny z Marokiem. Ci, którzy oczekiwali świetnego widowiska, z całą pewnością się nie zawiedli. Na murawie można było zobaczyć nie tylko młode gwiazdy z obu krajów, ale także kilku starszych, uznanych na europejskiej arenie zawodników. W kadrze Argentyny od pierwszej minuty grał 36-letni Nicolas Otamendi, a w marokańskiej koszulce biegał gwiazdor PSG Achraf Hakimi.

Jednak żaden z nich nie był pierwszoplanowym aktorem tegospektaklu. Niestety, w role główne wcielili się ludzie zasiadający na trybunach stadionu w Saint-Etienne.

Strzelać zaczęli Marokańczycy, którzy chwilę przed zakończeniem pierwszej połowy wyszli na prowadzenie. Sporo zawdzięczają Iliasowi Akhomachowi, który wykazał się sprytem i piętą zagrał w pole karne do Bilala El Khannoussa. Ten zauważył świetnie ustawionego Soufiane'a Rahimiego, podał mu, a napastnik pewnie wpisał się na listę strzelców.

Argentyna dowodzona przez słynnego Javiera Mascherano chciała szybko doprowadzić do wyrównania po zmianie stron, jednak to Maroko po raz kolejny zadało cios. Znów do siatki trafił Rahimi, tym razem pewnie wykorzystując rzut karny. Sytuacja ekipy z Ameryki Południowej zaczęła się komplikować, dlatego selekcjoner zaczął dokonywać zmian. Chwilę po utracie gola na boisku pojawił się Giuliano Simeone, wschodząca gwiazda Atletico. To właśnie on w 68 minucie strzelił kontaktowego gola, który pozwolił „Albicelestes" wierzyć w remis.

Pomimo ciągłego ataku Argentyńczycy długo nie potrafili poradzić sobie z bramkarzem Munirem. Mieli jednak sporo dodatkowego czasu. Sędzia przez przerwy (wywołane także wbieganiem kibiców na boisko) doliczył aż 15 minut. Drużyna Javiera Mascherano długo trzymała kibiców w niepewności, bo bramkę zdobyła w momencie, gdy sędzia już miał sięgać po gwizdek. Bohaterem zespołu został Cristian Medina, który znalazł się w odpowiednim miejscu, gdy Marokańczycy próbowali rozpaczliwie się bronić. Wykorzystując chaos wbił piłkę głową do pustej bramki, a zegar wybił już 16 minutę doliczonego czasu.

W tym momencie na obiekcie wybuchł chaos. Na murawę – po raz kolejny – przedostali się kibice! Inni, przede wszystkim ci marokańscy, zaczęli rzucać z trybun na plac gry różne przedmioty. Chwilę później piłkarze zeszli do szatni, jednak jak przekazano na oficjalnej stronie internetowej igrzysk, mecz nie został zakończony, a przerwany przez sędziego. Co więcej, ostatnia bramka była wciąż analizowana w wozie VAR, gdy na boisko weszli intruzi. Po prawie dwóch godzinach ogłoszono, że bramka Mediny została zdobyta nieprawidłowo! Piłkarze jeszcze raz musieli wyjść na boisko, tym razem bez udziału publiczności, przy wyniku 2:1 dla Maroka. Dokończenie spotkania trwało 3 minuty, a Argentyna nie była już w stanie doprowadzić do wyrównania.

Kacper Janoszka

GRUPA B

■ **Argentna – Maroko 1:2 (0:1)**
0:1 – Rahimi (45+2), 0:2 – Rahimi (51, karny), 1:2 – Simeone (68).

Rugbyści już grają

W Paryżu rywalizację jeszcze przed zapaleniem znicza olimpijskiego zainaugurowali rugbiści 7s.

Zespoły zostały podzielone na trzy grupy. Z każdej do ćwierćfinałów awansują po dwie najlepsze ekipy, do których dołączą także dwie czołowe drużyny z trzecich miejsc. Finał został zaplanowany na sobotę. Jeszcze przed ceremonią otwarcia kibice będą znać cztery reprezentacje, które powalczą o medale.

w środowe popołudnie pierwsze grupowe mecze wygrali Irlandczycy i Nowozelandczycy (grupa A), Argentyńczycy i Australijczycy (grupa B) oraz Fidżi (grupa C).

WYNIKI.

Grupa A
■ **Nowa Zelandia 40 - 12 Japonia**
■ **Irlandia 10 - 5 RPA**

Grupa B
■ **Argentyna 31 - 12 Kenia**
■ **Australia 21 - 14 Samoa**

Grupa C
■ **Fidżi 40 - 12 Urugwaj**
■ **Francja 12 - 12 USA**

(pp)

Sport 3104266024

Rzucony na głęboką wodę

Rozmowa z **Kajetanem Duszyńskim**, mistrzem olimpijskim z Tokio w lekkoatletycznej sztafecie mieszanej, członkiem olimpijskiej sztafety 4x400 metrów

Wszystkie kłopoty po drodze, kontuzje i choroby sprawiły, że w dwóch kolejnych latach nie mogłem pokazać, na co mnie naprawdę stać. Rok po igrzyskach często chorowałem, straciłem sporo treningów, być może odchorowywałem sezon olimpijski.

Co złoty medal olimpijski zmienił w pana życiu?

- Bardzo dużo. Sprawił choćby, że w stu procentach postawiłem na sport. Wcześniej miałem kończyć doktorat, ale ten sukces ukierunkował moją drogę ku kolejnym igrzyskom. Zasmakowałem życia, które znałem już wcześniej, bo traktowałem bieganie profesjonalnie. Zacząłem jednak jeszcze bardziej szukać nowych elementów, które by mnie rozwinęły jako zawodnika.

Czy do kolejnych igrzysk jako sportowiec na swój sposób spełniony podchodzi już pan bez presji, na luzie?

- Absolutnie nie, to są igrzyska, na żaden luz nie ma miejsca. Medal jeszcze bardziej motywuje, każdy bieg to nowa historia. Jestem ambitny, cieszę się, że mogę dalej trenować wyczynowo, zawsze podchodzę do tego z powagą, nigdy nie lekceważę. Tokio to już przeszłość, za chwilę są kolejne igrzyska. Cały czas trzeba się potwierdzać, poziom na świecie rośnie, rywalizacja jest coraz większa.

To dlaczego pana kariera po Tokio nie nabrała rozpędu?

- Mam wrażenie, że wszystkie kłopoty po drodze, kontuzje i choroby sprawiły, że w dwóch kolejnych latach nie mogłem pokazać, na co mnie naprawdę stać. Rok po igrzyskach często chorowałem, straciłem sporo treningów, być może odchorowywałem sezon olimpijski. W 2023 wydawało się, że jestem w życiowej formie, ale wtedy kontuzja na miesiąc wykluczyła mnie z treningu specjalistycznego i nie zakwalifikowałem się na mistrzostwa świata w Budapeszcie, na których mogłem coś udowodnić. Przed Tokio też były problemy, przeszedłem Covid, ale w najważniejszym momencie nic mi już nie dolegało. Szczęście też jest potrzebne.



Fot. Jia Yuchen/Xinhua/PressFocus

31 lipca 2021, Tokio. Kajetan Duszyński finiszuje po olimpijskie złoto w sztafecie mieszanej.

Z powodów zdrowotnych zabrakło też pana na czerwcowych mistrzostwach Polski, na których poziom finału 400 metrów był najwyższy w historii, cała trójka medalistów uzyskała wynik poniżej 46 sekund.

- Wspólnie z lekarzami postanowiliśmy, żeby nie startować w Bydgoszczy. Naciągnąłem mięsień półścięgnisty, w grupie dwugłowych uda, na szczęście to nic poważnego. Już jest w porządku, od dwóch tygodni szlifujemy formę w Spale, jeszcze tydzień mocniejszego treningu przed nami, jestem optymistą, generalnie wygląda to obiecująco.

Jak forma?

- Na ostatnim starcie kontrolnym nie udało mi się jej pokazać, ale przed nami kolejne sprawdziany, żeby wyłonić skład do sztafet.

Tak realnie, celuje pan w obydwie?

- Sam bym chciał wiedzieć, w której sztafecie będę biegał. Naszym celem są dwa finały. Na papierze w sztafecie 4x400 wyglądamy dużo mocniej niż przed igrzyskami w Tokio, gdzie zajęliśmy piąte miejsce. W tamtym sezonie dokonaliśmy niemal cudu, w ciągu roku zeszliśmy o 6-7 sekund, takie rzeczy nie zdarzają się co dzień, ale trudno biegać zawsze na poziomie 2:58.

W Paryżu skład naszej sztafety będzie jeszcze młodszy niż w Tokio. Mistrz Polski Maksymilian Szwed ma 20 lat, Igor Bogaczyński 21, Patryk Grzegorzewicz i Marcin Karolewski po 22, Daniel Sołtysiak 23...

- To niesamowite, ale w wieku 29 lat jestem drugi najstarszy w tej grupie, po Karolu Zalewskim! Po Tokio się posypaliśmy, wypadliśmy nawet z mistrzostw świata rok temu. Ale w kwietniu na mistrzostwach świata sztafet na Bahamach zdobyliśmy kwalifikację olimpijską i mamy nowe rozdanie. Stawka rywali jest bardzo silna, ale rezultaty indywidualne nie zawsze przekładają się na sztafetę, gdzie jest często ostra walka z przeciwnikiem o jak najlepszą pozycję. Dzięki temu konkurencja jest tak widowiskowa.

To teraz będzie trochę dłuższy cytat: „Na takie rzeczy trzeba zwracać uwagę i unikać ich. To nie jest kwestia losu, tylko odpowiedniego biegania wirażu. Będąc w formie i mając mocny skład, takich błędów nie można popełniać. Są to głupie błędy, których nigdy w sztafetach nie robimy. Unikanie ich pozwala nam tak naprawdę wygrywać biegi. Jeżeli będziemy sobie dokładać takich przeszkód, to niewiele wyjdzie dobrego z takiego biegania. Takie coś podcina skrzydła". To pana wypowiedź na gorąco po mistrzostwach Europy w Rzymie, gdy za przekroczenie toru na pierwszej zmianie Maksymiliana Szweda zostaliście zdyskwalifikowani i nie pobiegliście w finale. Nie żałuje pan słów, które mogły uderzyć w najmłodszego z was?

- Mam wrażenie, że moja wypowiedź została trochę źle zrozumiana. To nie było nic osobistego wobec Maksa, absolutnie nic do niego nie mam. Mnie też mogła się taka historia zdarzyć...

Ale straciliście trochę pieniędzy, bo finał mistrzostw Europy gwarantował wam stypendia i centralne szkolenie...

- Te stypendia za ME nie są aż tak duże, oczywiście lepiej mieć takie zabezpieczenie niż nie mieć, ale nie chodzi o te pieniądze. Po prostu był duży zawód, bo w Rzymie stać nas było na dobry wynik, powalczyć o medal, a nie mieliśmy nawet szansy. Każdy to trochę przeżył, Maks też wziął sobie do serca. Wszystkim bardzo nam zależy i nadal jesteśmy drużyną.

Wpadki zdarzały się nie takim tuzom, na igrzyskach w Sydney utytułowany Robert Maćkowiak, odbierając pałeczkę od kolegi i chcąc ruszyć na drugiej zmianie zawadził o pudło i fiknął koziołka. Kandydaci do medalu obeszli się smakiem...

- Tak, widziałem to, niesamowita historia. Tutaj przede wszystkim zawalili organizatorzy, bo to pudło nie powinno w ogóle być w takim miejscu i narażać zawodnika. No ale nikt już tego biegu nie wróci, szansa przepadła. To jest oczywiście truizm, że nie można popełniać błędów, ale margines na nie jest bardzo mały i po prostu trzeba się ich wystrzegać. To wszystko.

Więc wróćmy do teraz. Ma pan wrażenie, że dobrze wykorzystał sukces w Tokio, na przykład marketingowo?

- Ogólne jestem zadowolony, udało się nawiązać różne reklamowe współprace. Zawsze mogło oczywiście być lepiej, ale zostałem rzucony trochę na głęboką wodę, nie miałem wcześniej styczności z tym światem. No i życie sportowca jest intensywne, nie mamy zbyt wiele czasu, a jakieś większe kampanie reklamowe wymagają wielu zabiegów i organizacji, zgrania terminów i tak dalej.

Zagląda Pan jeszcze czasem do Chorzowa?

- Oczywiście, kursuję między Łodzią, gdzie studiowałem, a Śląskiem. Zdarza mi się trenować w Chorzowie i pozdrawiam mojego pierwszego trenera z gimnazjum sportowego nr 11 Krzysztofa Podchula.

A jak to będzie z tym pana doktoratem?

- Jeszcze podejmę walkę, wrócę do niego po igrzyskach. Nie rezygnuję z tej drogi. Zdałem egzaminy śródokresowe, muszę jeszcze dokończyć badania, no i pisać, pisać, pisać... Ale najpierw Paryż. Nie sprzedamy tanio skóry!

Rozmawiał Tomasz Mucha

W Rzymie stać nas było na dobry wynik, powalczyć o medal, a nie mieliśmy nawet szansy. Każdy to trochę przeżył, Maks też wziął sobie do serca. Wszystkim bardzo nam zależy i nadal jesteśmy drużyną.



Fot. Michał Laudy/PressFocus

11 czerwca 2024, Rzym. Zawiedzeni Polacy po dyskwalifikacji sztafety 4x400 za przekroczenie toru w eliminacjach.

Sport 3104266024

TRANSFERY POD KOSZEM



Foto Piotr Kieplin / PressFocus

Tyran De Lattibeaudiere jeszcze kilka miesięcy temu grał w barwach Legii Warszawa. Teraz został zawodnikiem Startu Lublin

JAMAJCZYK W LUBLINIE

■ Start Lublin długo zwlekał z kontraktowaniem obcokrajowców, ale jest pierwszy podpis. Nowym zawodnikiem został Tyran De Lattibeaudiere.

To gracz znany w polskiej lidze z występów w Legii Warszawa w zakończonym sezonie (rozegrał w stolicy 11 spotkań, notował średnio 9.8 pkt oraz 4.8 asysty). Ma 33 lata, mierzy 202 centymetry, może występować jako silny skrzydłowy lub center. W bogatej karierze grał m.in. w ligach Hiszpanii, Izraela, Francji, Szwajcarii i Tajwanu.

– Przede wszystkim cieszymy się z pierwszego transferu. Pozyskaliśmy doświadczonego, bardzo silnego zawodnika, który może zagrać przodem i tyłem do kosza, co było dla nas istotne. Tyran ma bardzo długie ręce, dzięki czemu potrafi umiejętnie walczyć pod obręczą. Cechuje go także duża sprawność. To koszykarz, który ma w środowisku bardzo dobre opinie. Wiemy, że dba o siebie i przyjedzie do Lublina gotowy do pracy na pełnych obrotach. Mamy nadzieję, że pomoże drużynie w osiąganiu korzystnych rezultatów – mówi klubowej stronie trener Startu Wojciech Kamiński.

SOSNOWIEC PRZEDŁUŻA

■ Alicja Jarząb pozostaje w Sosnowcu. Dla 21-letniej rzucającej to będzie już trzeci sezon w MB Zagłębie. Jarząb jest wychowanką UKS Basket SMS Aleksandrów Łódzki.

W minionym sezonie wystąpiła w 22 meczach ekstraklasy, średnio zdobywała 2.9 punktu, 1.8 zbiórki oraz 1.1 asysty. Przed rokiem grała też w Eurobaskecie U20 w młodzieżowej reprezentacji Polski. Występuje też na boiskach basketu 3x3.

Wcześniej klub z Sosnowca zakontraktował Keondrię Calloway (Basket Bydgoszcz), Aleksandrę Pszczolarską (AZS AJP Gorzów Wielkopolski) oraz Kamilę Borkowską (VBW Gdynia). Przedłużono też umowę z Klaudią Wnorowską.

WZMOCNIONE PIERNIKI

Nowym zawodnikiem Twardych Pierników Toruń został 25-letni Michael Ertel, który ma za sobą pięć rozegranych sezonów w NCAA. Najpierw był graczem Louisiana -Monroe Warhawks, a ostatnie dwa lata spędził w UAB Blazers. W 2022 roku wyjechał do Europy, podpisując umowę z klubem z Finlandii. Taką informację podał dziennikarz Karol Wasiek. Na razie klub oficjalnie nie potwierdza, ale sprawa wydaje się przesądzona.

25-letni rozgrywający w ostatnim sezonie grał w 2. lidze francuskiej, w zespole Vichy-Clermont. Wystąpił w 37 meczach, zdobywał średnio 10.1 pkt, 1.4 asyst i 1.3 zbiórki. **(pp)**

Nasi w Skopje i Druskiennikach

W piątek reprezentacja Polski do lat 18 rozpocznie rywalizację w EuroBaskecie U18 Dywizji B w Skopje. Polacy zagrają w grupie B z Węgrami, Szwajcarią, Islandią, Estonią i Kosowem. Skład reprezentacji na Eurobasket w Skopje: Kacper Ambroziak, Iwo Baganc, Joel Cwik, Julian Dąbrowski, Filip Kowalczyk, Zoran Milicić, Bartosz Łazarski, Kajetan Misztal, Mateusz Orłowski, Filip Poradzki, Karol Prochorowicz, Tymoteusz Sternicki. Tymczasem reprezentacja kobiet do lat 16 dotarła na Litwę. W Druskiennikach nasza drużyna weźmie udział w turnieju międzynarodowym. Rywalkami będą kadry Łotwy, Litwy i Estonii.

(pp)

Szejkowie wchodzą pod kosz

Wszystko wskazuje na to, że niebawem w Eurolidze zobaczymy klub z Emiratów Arabskich. Na razie test w Lidze Śródziemnomorskiej.

W ostatniej edycji Euroligi wyłoniono nowego mistrza, którym został grecki Panathinaikos, tymczasem bardzo interesujący wywiad, dotyczący przyszłości tej najlepszej koszykarskiej ligi na Starym Kontynencie, pojawił się w hiszpańskim dzienniku AS. Rozmówcą Juana Jimeneza był Paulius Motiejunas. Były zawodnik i prezes Żalgirisu Kowno od ponad roku pełni funkcję szefa Euroligi.

Koszykarski świat rozgrzewa pytanie czy przedstawiciel Emiratów pojawi się w najbliższym czasie w składzie drużyn grających w Eurolidze?

- Ciągle z nimi negocjujemy i jednocześnie wewnątrz naszej organizacji rozmawiamy z klubami. Chcemy spojrzeć na to z szerokiej perspektywy, żeby mieć pełen obraz, ponieważ to jest wielki krok dla Euroligi - mówi we wspomnianym wywiadzie Motiejunas.

Ten rynek już wcześniej zauważyły władze NBA. W Abu Dhabi występowały już Atlanta, Milwaukee oraz przed rokiem Minnesota i Dallas. W październiku tego roku w Etihad Arena dwa mecze zagrają dwa najlepsze zespoły, Denver Nuggets oraz Boston Celtics.

Przed trzema miesiącami linie Emirates oraz NBA ogłosiły wieloletnie globalne partnerstwo marketingowe, w ramach którego przewoźnik został oficjalnym partnerem ligi, Emirates stały się również pierwszym członkiem tytułowym Pucharu NBA (In Season Tournament), a także pierwszym w historii partnerem NBA w zakresie naszywek na koszulkach sędziowskich.

Nic dziwnego, że Euroliga też jest zainteresowana pieniędzmi od szejków. - Krok po kroku analizujemy wszystko. Nie podjęliśmy jeszcze decyzji. Wiele razy powtarzaliśmy, że to jest rynek, do którego zmierzają wszystkie dyscypliny: golf, tenis czy MMA. NBA tam była i piłka nożna. Wszyscy tam idą. My, jako Euroliga, nie możemy zamykać oczu - wyjaśnia szef Euroligi.



Fot. Oscar J Barroso/DPPI/IPA Sport 2/ipa-agency.net/SIPA USA/PressFocus

Awudu Abass gra w reprezentacji Włoch. Od nowego sezonu będzie tez jednym z liderów klubu z Dubaju.

Sprawa dotyczy zespołu BC Dubai. Jego właścicielem jest Abdullah All Nabbodah, jeden z najbogatszych ludzi w Emiratach. Według medialnych raportów rozmowy prowadzili Bośniak Dejan Kamenjasevic oraz Serb Djordje Djoković, młodszy brat słynnego tenisisty Novaka. Ten pierwszy dość długo był dyrektorem sportowym w klubie z Dubaju. Djoković nieoczekiwanie kilka dni temu ustąpił ze stanowiska, a zastąpił go Salem bin Dasmal, przed laty utalentowany tenisista, uczestnik Davis Cup z reprezentacją Emiratów, dziś biznesmen.

Djoković wynegocjował pierwszy konkret. Jako test przed Euroligą drużyna z Dubaju wystąpi już w najbliższym sezonie Ligi Śródziemnomorskiej ABA AdmiralBet. Nie obyło się bez kontrowersji. Przeciwne przyłączeniu ekipy z Emiratów były władze Partizana Belgrad (grał tam Mateusz Ponitka), a przedstawiciel Buducnosti Podgorica nie pojawił się na głosowaniu. Pozostali członkowie ligi przegłosowali jednak ten wniosek przytłaczającą większością.

Jednym z problemów mogą być kwestie związane z położeniem Dubaju. Niewątpliwie to klub, który będzie najdalej wysunięty ze wszystkich członków ligi. Przelot na linii Madryt - Dubaj zajmie około 8 godzin. Do Tel Awiwu ze stolicy Hiszpanii leci się blisko trzy godziny krócej. Wszystko jednak wskazuje na to, ze Euroliga wykona ten krok.

Według medialnych informacji szejkowie chcą zainwestować w ligę 150 milionów euro w okresie sześciu lat. Jako warunek stawiają wprowadzenie do Eurioligi własnego zespołu oraz organizację turniejów Final Four w 2025 i 2029 roku.

W marcu tego roku prezes Barcelony poparł starania szejków o przystąpienie do Euroligi. - Sportowa elita patrzy w kierunku Bliskiego Wschodu, my w Eurolidze nie możemy przeoczyć tej szansy. Chociaż istnieją pewne obawy, uważnie analizujemy tę kwestię od dwóch lat. Kluczową sprawą jest to, że Dubaj prezentuje solidny projekt, którego celem jest ostatecznie rywalizacja w najwyższej lidze europejskiej. To byłaby fantastyczna wiadomość, gdyby Dubaj dołączył do nas - zapowiedział w rozmowie z Basketnews Josep Cubells, dyrektor odpowiedzialny za koszykówkę w Barcelonie.

Motiejunas w tej sprawie jest umiarkowanym optymistą. Czy są szanse, że w sezonie 2025/26 na parkietach Euroligi zobaczymy klub z Dubaju? - Oceniłbym to 50 na 50 - mówi prezes.

Na razie wiadomo, że 20 września BC Dubai rozegra pierwszy mecz w Lidze Śródziemnomorskiej. Zapowiada się wielkie widowisko, bo w Dubaju pojawi się Crvena Zvezda Belgrad czyli aktualny mistrz ligi.

Póki co BC Dubai kompletuje skład. Trenerem będzie Słoweniec Jurica Golemac. Zakontraktowano na razie pięciu graczy: Awudu Abassa (ostatnio Virtus Segafredo Bolonia), Nate Masona (Yukatel Merkezefendi), Nemanję Dangubicia (Peristeri), Ahmeta Düverioğlu (Bordumspor) oraz Leona Radosevicia (Derthona Basket). Trwa nabór kolejnych zawodników. **(pp)**

Sport 3104266024

W Zabrzu zaczęto fedrować

Od treningu biegowego, zajęć w siłowni, a następnie w hali rozpoczęli przygotowania do sezonu szczypiorniści Górnika.



Fot. Górnik.handbalzabrze.pl

W ostatnich dniach zawodników Górnika spotkać można m.in. na stadionie Walki Zabrze.

Na pierwszych zajęciach po urlopach zawodnicy Górnika spotkali się w poniedziałek. - To był niezwykle intensywny dzień, bo rozpoczął się od treningu biegowego, następnie była wizyta w siłowni, a na koniec w hali. W inauguracyjnych zajęciach uczestniczyli wszyscy, ale kapitan Adam Wąsowski ćwiczył indywidualnie, gdyż pod koniec maja przeszedł operację stawu barkowego - powiedział dyrektor klubu, Dariusz Czernik. „Adaś" w zeszłym sezonie rozegrał 25 meczów w Orlen Superlidze i wspomagał drużynę w Lidze Europejskiej, będąc jej ważną postacią. Na krajowych parkietach oddał... 6 rzutów i zdobył 4 bramki, ale nie z tego elementu jest rozliczany. Dobrze zbudowany (194 cm/105 kg) 27-latek pomaga drużynie głównie w obronie, a nawet uchodzi za jej szefa. Trudno określić kiedy Wąsowski wróci do treningów z pełnym obciążeniem, ale w Zabrzu na jego umiejętności bardzo liczą i dlatego nie pozyskali żadnego zawodnika na jego pozycję.

Wzmocnili natomiast inne. Podopiecznymi trenera Tomasza Strząbały zostali: wracający z wojaży zagranicznych leworęczny skrzydłowy Krzysztof Komarzewski, również leworęczny, ale rozgrywający ukraiński Bogdan Czerkaszczenko oraz kolejny rozgrywający, lecz rumuński, Dan-Emil Racotea. Dwaj ostatni mają zastąpić Rennosukę Tokudę, który wrócił do ojczystej Japonii oraz Damiana Przytułę, pragnącego spróbować sił w ekstraklasie węgierskiej; reprezentant Polski miał ważny kontrakt z Górnikiem, ale został wykupiony przez MOL Tatabanya, uczestnika Ligi Europejskiej. W uzupełnieniu dodajmy, że Górnikiem pożegnali się obrotowy Sebastian Kaczor, środkowy rozgrywający Aleksander Baczko i skrzydłowy Patryk Mauer.

Sztab szkoleniowy brązowego medalisty zeszłego sezonu ma ponad miesiąc, żeby wkomponować do zespołu nowe twarze. By solidnie przygotować zespół do sezonu (zabrzanie zainaugurują go domowym meczem z Azotami Puławy na przełomie sierpnia i września), trener Strząbała przygotował napięty do granic możliwości grafik spotkań kontrolnych. 3 sierpnia jego zespół zagra na wyjeździe z Gwardią Opole, w dniach 10-11 sierpnia w Zabrzu weźmie udział w turnieju z udziałem HBC Karvina, Wybrzeża Gdańsk i HC Zubrzi, od 16 do 18 sierpnia wystąpi w Kenik Cup w Brnie (rywale nie są jeszcze znani), a próbą generalną będzie domowy sparing z Ostrovią Ostrów Wielkopolski.

Zespół musi zostać solidnie przygotowany, bo oprócz meczów ligowych czekają go starcia w Lidze Europejskiej. - Na razie poznaliśmy jednego grupowego przeciwnika, na dwóch pozostałych czekamy. Wydaje się, że będzie turniej niż przed rokiem, kiedy dotarliśmy do 1/16 finału. Mecze pucharowe czekają nas jednak dopiero od października. Teraz najważniejszy jest okres przygotowawczy i dobry start w Orlen Superlidze - dodał dyrektor Górnika, a my przypomnijmy, że zabrzan czekają starcia z francuskim Montpellier, zwycięzcą dwumeczu pomiędzy węgierskim Ferencvarosi TC a duńskim Bjerringbro -Silkeborg oraz lepszym w konfrontacji między hiszpańskim Fraikin BM Granollers a szwedzkim IFK Kristianstad.

(mha)

Szczodry beniaminek

Ponad 1000 kibiców Zagłębia Sosnowiec i BKS-u Stali Bielsko-Biała wybiera się na sobotni mecz z Rekordem Bielsko-Biała. Bilety sprzedawane są za pośrednictwem systemu... Podbeskidzia.

Domowy debiut biało-zielonych na szczeblu centralnym będzie miał bowiem miejsce na Stadionie Miejskim w Bielsku-Białej, na którym od ponad 20 lat swoje spotkania rozgrywają „górale". Sprzedaż biletów za pośrednictwem strony internetowej Podbeskidzia wywołało zdziwienie, a nawet oburzenie wśród kibiców bardziej znanego bielskiego klubu. Rzeczywiście, całość wygląda niezbyt profesjonalnie, bo kibice Rekordu, by kupić wejściówkę na mecz z Zagłębiem Sosnowiec muszą utworzyć konto w systemie należącym do Podbeskidzia, a następnie wybrać miejsce w dostępnym sektorze na tle dużego herbu... „górali". Komentarze w tej sprawie pojawiły się na forum kibicowskim oraz w mediach społecznościowych Rekordu. - Jedyny system biletowy na Stadionie Miejskim jest zintegrowany ze stroną internetową Podbeskidzia. Nie ma więc na ten moment innej możliwości sprzedaży biletów online - odpowiadali przedstawiciele drugoligowego beniaminka z Cygańskiego Lasu.

Systemu nie mają

Po więcej szczegółów zwróciliśmy się do **Marka Homy**, dyrektora ds. organizacyjnych Rekordu. - Jest to niezręczna sytuacja, zarówno dla naszych kibiców, jak i dla kibiców Podbeskidzia. Chcieliśmy bardzo, aby sprzedaż biletów odbywała się przez naszą stronę, analogicznie jak ma to miejsce w przypadku Podbeskidzia. Niestety, na ten moment - ze względów technicznych, m.in. powiązania wdrożonego na stadionie systemu sprzedaży biletów z tzw. bramofurtami oraz stroną Podbeskidzia - nie było to możliwe. Dlatego sprzedaż odbywa się przez stronę Podbeskidzia, a za pomoc w jej uruchomieniu i wdrożeniu serdecznie klubowi z Rychlińskiego dziękujemy - wyjaśnia dyrektor Homa. Dlaczego obiekt, który należy do miasta, nie posiada własnego systemu biletowego? - Jak nie wiadomo o co chodzi, to chodzi o pieniądze. Nie było dotychczas nikogo poza Podbeskidziem, kto wynajmowałby ten obiekt - przyznaje Zbigniew Rafałowski z Bielsko-Bialskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji.

Piłka nożna dla kibiców

Kierownik działu administracji stadionów wyjaśnia, że obecny system biletowy został stworzony kilkanaście lat temu, ale dałoby się go dostosować na potrzeby sprzedawania biletów przez Rekord. - Pytanie, czy to się kalkuluje i opłaca? - zastanawia się Rafałowski. Problemu by nie było, gdyby beniaminek mecz z Zagłębiem rozegrał na własnym stadionie w Cygańskim Lesie. Klub, myśląc o awansie i spełnieniu wymagań licencyjnych, wiosną rozpoczął budowę trybuny z sektorem gości. Inwestycja kosztem 3 milionów złotych została zrealizowana początkiem czerwca przed decydującym o awansie meczu z Górnikiem Polkowice. Dlaczego Rekord pierwsze domowe spotkanie na szczeblu centralnym rozegra przy Rychlińskiego? Prezes Janusz Szymura już kilka tygodni temu zapowiadał, że mecze, którym towarzyszyć będzie duże zainteresowanie ze strony kibiców rywali, bielszczanie rozgrywać będzie przy Rychlińskiego. Kameralny obiekt przy Startowej 13 jest w stanie przyjąć tylko 1000 kibiców, a sektor gości liczy niewiele ponad 100 miejsc.



Fot. Podbeskidzie Bielsko-Biała

Bilety na mecz Rekordu z Zagłębiem można kupować przez stronę... Podbeskidzia.

Sporo dołożą

Tymczasem kibice Zagłębia zapowiedzieli się, że przyjadą do Bielska-Białej w sile 1100 osób i tradycyjnie wspierać będzie ich wieloletnia zgoda, czyli trzeci klub z miasta - BKS Stal. Wydawać by się mogło, że Rekord, przyjmując tak dużą liczbę kibiców gości, kieruje się pobudkami natury finansowej, ale nic bardziej mylnego. Koszt wynajmu obiektu od BBOSiR to wydatek ponad 20 tysięcy złotych. Drugie tyle, to koszt ochrony, choć jak usłyszeliśmy sobotni mecz nie został zakwalifikowany jako impreza podwyższonego ryzyka. Do tego dochodzi kilka pomniejszych wydatków i koszt jego organizacji przy Rychlińskiego może się zbliżyć do kwoty 80 tysięcy złotych. Tymczasem z biletów klub najprawdopodobniej nie zarobi nawet połowy tej sumy, więc do organizacji sobotniego spotkania sporo dołoży.

Dodajmy, że w rundzie jesiennej Rekord planuje zagrać na Stadionie Miejskim jeszcze z GKS-em Jastrzębie. Do starcia w ramach 13. kolejki Betclic 2. Ligi dojdzie jednak dopiero w drugi weekend października.

(gru)

Sport 3104266024

Brawura za kierownicą ukarana

Dariusz Banaszek, dotąd dyrektor sportowy grupy Mazowsze Serce Polski, decyzją Międzynarodowej Unii Kolarskiej (UCI) został czasowo zawieszony w pełnieniu jakichkolwiek funkcji związanych z tą dyscypliną sportu.

UCI w ten sposób ukarała go za niebezpieczną jazdę samochodem na trasie jazdy indywidualnej na czas podczas Tour of Denmark w sierpniu ubiegłego roku. Jak napisano w komunikacie, Banaszek "jechał w sposób brawurowy, wyprzedzając kilku zawodników, samochody ekip i motocykle, aby dogonić kolarza swojej grupy. Jego działania były tym bardziej niebezpieczne, że przeciwległy pas był również wykorzystywany do jazdy na czas z nadjeżdżającymi zawodnikami i pojazdami."

Komisja Dyscyplinarna UCI uznała, że zachowanie dyrektora polskiej ekipy było nie tylko sprzeczne z przepisami o ruchu drogowym, ale także stwarzało zagrożenie dla innych osób w konwoju wyścigu oraz widzów. Kara za brawurową jazdę to zawieszenie w pełnieniu jakichkolwiek funkcji związanych z kolarstwem do 23 października 2024 roku i zakaz kierowania pojazdem w konwoju wyścigowym do 17 marca 2025 roku. Ponadto Banaszek, o ile zechce dalej uczestniczyć w wyścigach autem, będzie musiał przejść stosowny kurs bezpiecznej jazdy.

- Ale się narobiło! Rok temu wyprzedziłem nie kilku, a jednego zawodnika podczas czasówki (według mnie najbezpieczniej, jak się tylko dało) na wyścigu w Danii, chcąc zabezpieczyć kolejnego mojego zawodnika. Wszyscy o tym wiedzieli, a dzisiaj taki niesamowity news - we właściwym sobie stylu skomentował decyzję UCI w mediach społecznościowych Banaszek, były prezes PZKol. i jedna z najbardziej wpływowych osób w polskim kolarstwie.

(g)



Fot. Rafał Oleksiewicz / PressFocus

Dariusz Banaszek jak zwykle wie lepiej

Polki w półfinałach

Magdalena Fręch po zwycięstwie nad wyżej notowaną Anheliną Kalininą z Ukrainy 2:6, 6:0, 6:1 awansowała do półfinału turnieju WTA 250 na ziemnych kortach w Pradze. Jak przypomniano na portalu historiapolskiegotenisa.pl, 26-latka z Łodzi po raz pierwszy wystąpi w półfinale imprezy tej rangi. Do tej pory jej największym sukcesem była wygrana w zawodach rangi WTA 125 w amerykańskim Concord. Zajmująca dotychczas 57. pozycję w rankingu światowym Polka ze sklasyfikowaną 10 lokat wyżej Ukrainką w cyklu WTA zmierzyła się po raz pierwszy. Wcześniej doznała dwóch porażek w imprezach ITF.

Do półfinału awansowała także Magda Linette, która pokonała Bułgarkę Wiktorię Tomową (5.) 4:6, 6:3, 6:2.

Mecz trwał prawie trzy godziny.

Zawody w Pradze to ostatni sprawdzian obu polskich tenisistek przed olimpijskim występem w Paryżu.

Wyniki ćwierćfinałów: Magdalena Fręch (Polska, 6) - Anhelina Kalinina (Ukraina, 3) 2:6, 6:0, 6:1. Magda Linette (Polska, 4) - Wiktoria Tomowa (Bułgaria, 5) 4:6, 6:3, 6:2.

(PAP)

Duńczyk najszybszy w Teresinie

Mads Andersen z grupy Airtox-Carl Ras wygrał pierwszy etap Wyścigu Dookoła Mazowsza.

Rywalizację w 67. edycji rozgrywanej od 1951 roku kolarskiej imprezy rozpoczął odcinek ze startem i metą w Teresinie. 157 zawodników (w tym 43 Polaków) z 28 zespołów ścigało się w środę na płaskiej, szybkiej rundzie. Na szóstej (z ośmiu) zaatakowało trzech zawodników. Wśród nich znalazł się Andersen, któremu udało się przechytrzyć peleton i z niewielką przewagą samotnie dojechać do mety. Drugie miejsce zajął Bartłomiej Proć (Santic-Wibatech), a trzecie Holender Lars Rouffaer (Diftar).

Niespełna 24-letni Duńczyk został pierwszym liderem wyścigu. Kolarz grupy Airtox-Carl Ras, który specjalizuje się w sprincie, jechał już w tym roku w Polsce. Na przełomie maja i czerwca uczestniczył w Małopolskim Wyścigu Górskim, gdzie na jednym z etapów finiszował na trzecim miejscu. Tydzień po zakończeniu tamtej imprezy osiągnął życiowy sukces, wygrywając pięcioetapowy Wyścig Dookoła Litwy.

W kolejnych dniach kolarzy będą gościć Grodzisk Mazowiecki (czwartek), Płońsk (piątek) i Kozienice, gdzie w sobotę zakończy się wyścig.

(g)

Spore aspiracje sosnowiczan



Fot. Łukasz Sobala/PressFocus.pl

Patryk Kężołek nadal będzie liderem sosnowieckiej drużyny i kibice liczą na jego gole.

Zespół EC Będzin Zagłębie Sosnowiec, zgodnie z wcześniejszymi przewidywaniami, otrzymał licencję na grę w TAURON Hokej Lidze, ale ma status warunkowej. Działacze sosnowieckiego klubu czekają na zaświadczenia o niezaleganiu z płatnościami z ZUS-u i Urzędu Skarbowego. Ten proces trwa, ale lada chwila stosowne dokumenty będą w posiadaniu klubu. Zagłębie to już siódma drużyna, która otrzymała prawo gry w THL. Licencji nie mają jeszcze Marma Ciarko STS Sanok oraz PZU Podhale Nowy Targ.

Hokeiści z Sosnowca podczas przygotowań do ligowej inauguracji, która rozpocznie się najprawdopodobniej 13 września, rozegrają osiem meczów kontrolnych. Pierwsze trzy na własnym lodzie z Energą Toruń (8.08.), Comarch Cracovią (9.08.), Podhalem Nowy Targ (13.08), potem zaliczą sesję wyjazdową: z „Szarotkami" (13.08.), „Pasami" (14.08.) i ponownie Podhalem (20.08.), dwumecz z Energa (29 i 30.08.) i na zakończenie z Marmą Ciarko STS Sanokiem (6.09.).

W Zagłębiu dokonano ciekawych transferów i działacze oraz trenerzy liczą na zdecydowanie lepszą postawę oraz wyższe miejsce niż w ostatnich latach.

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

CZWARTEK, 25 LIPCA

TVP 1
20.10 Przegląd wydarzeń

POLSAT
20.05 Pn: elim. Ligi Konferencji Europy, Legia Warszawa - Caernarfon Town (na żywo)

TVP SPORT
23.00 Sportowy wieczór

POLSAT SPORT 1
17.30 Pn: elim. Ligi Europy, Wisła Kraków - Rapid Wiedeń (na żywo)

POLSAT SPORT 2
16.30 Tenis: ćwierćfinał ATP w Umag, 19.00 Magazyn olimpijski, 21.30 Cage Warriors 175 w Manchesterze: Dario Bellandi - Robin Roos (na żywo)

POLSAT SPORT 3
18.00 Tenis: ćwierćfinały ATP w Umag (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 1
11.00 Tenis: ćwierćfinały ATP w Kitzbuehel, 17.30 Pn: elim. LE, Wisła - Rapid, 20.00 Elim. LKE, Legia – Caernarfon (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 2
16.00 Cage Warriors 175 w Manchesterze: preelim, i karta wstępna (na żywo)

EUROSPORT 1
8.50 Igrzyska olimpijskie: piłka ręczna kobiet, Słowenia - Dania, 10.30 Holandia - Angola, 13.50 Hiszpania - Brazylia, 15.30 Niemcy - Korea Płd., 17.30 Pn kobiet: Hiszpania - Japonia, 19.00 Niemcy - Australia (na żywo)

EUROSPORT 2
13.50, 19.50 IO: rugby 7 mężczyzn (na żywo)

CANAL+ SPORT 2
11.00, 13.00 Tenis: półfinały WTA w Pradze (na żywo)

ELEVEN SPORTS 1
18.25 Żużel: liga duńska, Slangerup Speedway - Team Fjelsted (na żywo)

Wszystkie telewizje korzystają z prawa do zmian w swoich programach. Powody zmian mogą być również niezależne.

Sport
Adres: 40-013 Katowice, ul. Uniwersytecka 13

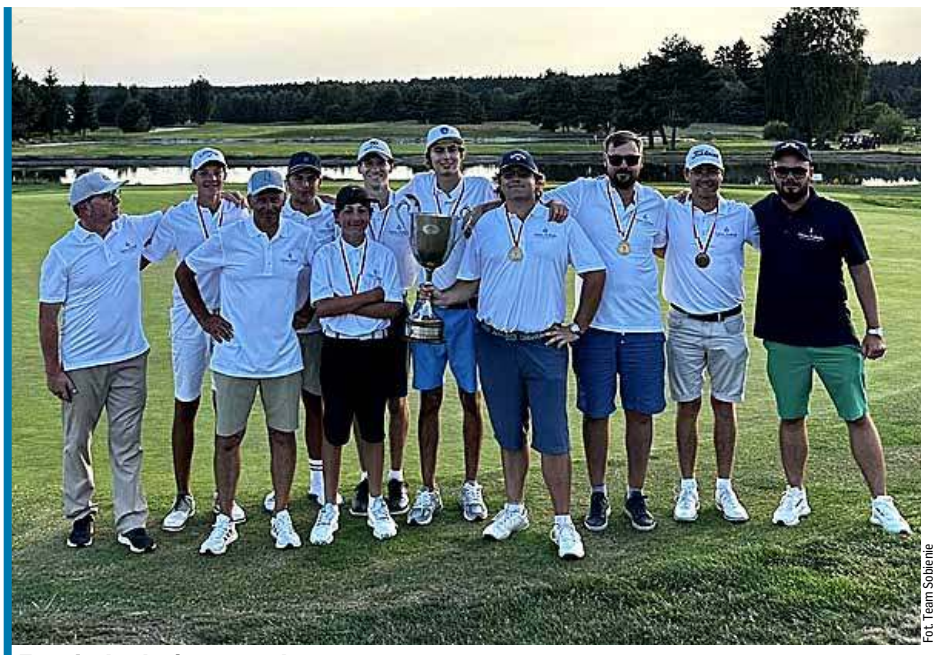
Szef redakcji/Redaktor naczelny
Andrzej WASIK
Redaktor wydania Piotr PŁATEK
e-mail: redakcja@dzienniksport.com.pl

Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba

Sport 3104266024

Czwarty tytuł z rzędu!

Choć Sobienie Królewskie to najbardziej utytułowana drużyna w historii polskiego golfa, w tym roku niewielu stawiało właśnie na nią. Stało się inaczej i teraz już siedmiokrotny klubowy mistrz Polski pokazał, że nigdy nie powinno się go skreślać z listy faworytów.



Fot. Team Sobienie

Zwycięska drużyna z pucharem.

Turniej rozgrywany był w tym roku wyjątkowo nie na terenie obrońców tytułu – w Sobieniach Królewskich, a w Kalinowych Polach, które jako pierwsze pole w Polsce doczekało się trzeciej dziewiątki. Po rundzie Stroke Play na prowadzenie wysunął się OUR Golf Club. Bojowa drużyna: Max Biały, Franek Dudek, Marcin Bogusz, Stepan Surzhik, Darius Momkus, Stanisław Jarzyna i Bartosz Bogusz, z wynikiem +14 miała aż 22 uderzenia przewagi nad drugą Armadą i 27 strzałów mniej niż zamykające podium Sobienie. Czwarta była ekipa Binowo Park, a dopiero piąta drużyna z Kalinowych. Do walki o medale pretendowały jeszcze zamykające czołową ósemkę: Kraków Valley, Lisia Polana i Black Water Links. Po raz kolejny okazało się, że prawdziwa walka rozpoczyna się dopiero w fazie meczowej. W półfinałach OUR GC rozprawił się z gospodarzami 3:1, a Sobienie pokonały Armadę też 3:1. W finale Sobienie pokonały OUR GC 3:1. Brąz wywalczyli gospodarze, wygrywając z Armadą również 3:2.

Odmłodzony skład

Mistrzów reprezentowała mocno odmłodzona drużyna, w której składzie zabrakło dwóch kluczowych zawodników, Alejandro Pedryca i Michała Bargendy. Obaj koledzy z czasów juniorskich zdobyli wszystkie sześć poprzednich tytułów Sobieni, a teraz stawiają pierwsze kroki jako zawodowcy. Tym razem puchar wywalczyli: Michał Cygan, Nikolas Tymiński, Antek Fijałkowski, Mikołaj Geritz, Mateusz Zarzycki, Andrzej Wierzba jr., Wojciech Grzegorzek i Konrad Bargenda.

Tomasz Pedryc, kapitan drużyny i tata wielokrotnego mistrza Polski - Alejandro, tak wyjaśniał dla Polskiego Związku Golfa fenomen drużyny: „Nikt w tym roku na nas nie stawiał, ale puchar wraca do nas, czyli do domu. Jadąc do Kalinowych, nie opuszczały nas ambicje i chęci, by ten przechodni puchar został u nas, bo już od tylu lat ma swoje honorowe miejsce i naprawdę nie stoi zakurzony, polerujemy go co jakiś czas. Ale patrząc na listy startowe przyznam szczerze, że byłem sceptyczny. Jestem przekonany, że zaprocentowała dobra atmosfera i wspólny język, jaki znalazłem z chłopakami. Z jednej strony mamy ten luz, a z drugiej panuje sportowa dyscyplina i każdy wie, co ma robić".

Z perspektywy tylu rozegranych klubowych mistrzostw Polski muszę dodać, że psychicznie najtrudniejszy był pierwszy mecz, czyli ten z Kraków Valley. Bo aby grać o medale, zaraz po Stroke Play trzeba wygrać pierwsze starcie.

Drużyna najważniejsza

Kapitanowi pomagał w tym roku Marek Bargenda – ojciec Michała i Konrada. Ten pierwszy, ze względu na wstąpienie do grona zawodowców już nie gra w teamie Sobieni, a ten drugi wywalczył klubowe trofeum już po raz piąty. Marek tak opisywał swoje emocje: „Niesamowite wrażenia po tegorocznych mistrzostwach. Nie da się ukryć, że jechaliśmy na nie mocno osłabieni przejściem na zawodowstwo Michała i Alejandro. Na dodatek wiedzieliśmy, że Antek zagra tylko dwa dni, a w składzie mieliśmy aż trzech debiutantów. Stroke Play zakończyliśmy na trzecim miejscu, a faza meczowa zapowiadała się jako wielka zagadka. Myślę, że ćwierćfinał z Kraków Valley był przełomowy. To był zacięty i wyrównany mecz. Wygraliśmy 3&2 na ostatnim dołku, po niesamowitej końcówce w wykonaniu naszego four-balla: Michała Cygana i Mikołaja Geritza. Wtedy naprawdę uwierzyliśmy, że możemy wygrać, mimo że mało kto na nas stawiał. Półfinał z Armadą też był zacięty. I znowu mecz rozstrzygnął się na 18. dołku, kiedy Konrad trafił putta z ośmiu metrów na birdie. Niesamowite emocje i duży zastrzyk optymizmu dla całej drużyny. Do tytułu pozostał tylko i aż jeden krok - wygrać z niekwestionowanymi faworytami, z OUR Golf Club.

Zaczęło się fantastycznie, od zwycięstwa naszej pary debiutantów, Wojtka i Michała w formacie foursomes. Zaczynając pozostałe mecze wiedzieliśmy, że do tytułu brakuje nam „tylko" dwóch zwycięstw. I daliśmy radę. Nicolas w zaciętym pojedynku pokonał Maxa na 17. dołku. Ponieważ w międzyczasie przegraliśmy dwa pozostałe single - o tytule miał zdecydować mecz four-ball. Nasza para - Andrzej i Konrad przez pierwsze dziewięć dołków toczyła bardzo wyrównany mecz i uzyskała prowadzenie 2 up. Potem nasi chłopcy włączyli TURBO i głównie dzięki znakomitym puttom wyszli na prowadzenie 4 up po 13. dołkach. Na piętnastce Bartek Bogusz trafił birdie, zmniejszając prowadzenie na 3 up, ale mecz zakończył się na szesnastce. Andrzej trafił putt z sześciu metrów i można było obwieścić światu: „Mamy TO".

Mistrzostwa pokazały, że do zwycięstwa potrzeba czegoś więcej niż suma umiejętności graczy. Zaprezentowaliśmy się najlepiej jako drużyna. Świetny team spirit, wola walki do końca, zgranie zespołu to cechy, które oprócz świetnej gry dały nam mistrzostwo. Koniecznie trzeba dorzucić do tego świetne prowadzenie drużyny przez kapitana Tomka Pedryca, zaangażowanie organizacyjne Piotra Szymańskiego i ogromne wsparcie naszych klubowiczów – kibiców, którym przekazywałem relacje bezpośrednio z pola. Jestem ogromnie dumny z tego co osiągnęliśmy w tym roku, mimo że tak wiele wskazywało, że tytuł jest poza naszym zasięgiem".

Taktyka zadziałała

Konrad Bargenda tak wspominał swój finałowy mecz: „Wchodząc w finał wiedzieliśmy że OUR Golf Club ma najsilniejsze single, więc postanowiliśmy postawić wszystko na mecze parami. W finale zagrałem z Andrzejem Wierzbą four-balla, podczas którego idealnie się dopełnialiśmy - kiedy jeden zepsuł, drugi był w stanie pomóc. Dzięki temu, że znamy się już bardzo długo, nasz team spirit był bardzo dobry i to pozwoliło nam wygrać 3&2".

Nikolas „Gigant" Tymiński zdradził założenia taktyczne, które odegrały kluczową rolę w sukcesie: „Grało się dobrze. Emocje były bardzo intensywne, dlatego, że po raz pierwszy od dziesięciu lat nie byliśmy faworytami. W tym roku to jednak OUR był o wiele lepszy na papierze. W każdym meczu była bardzo zacięta walka. Na początku zaczęliśmy z Krakowem i doszło do decydującego o wszystkim four-balla. Następnie z Armadą też nie było łatwo. Kolejne 3&2 dało nam bilet do finału. W meczu finałowym wiedzieliśmy, że musimy zrobić coś specjalnego, żeby mieć jakąś szansę. Ustaliliśmy, że musimy wystawić dwa mocne four-balle i foursomy i będziemy liczyć na to, że ja wygram singla z jednym z trójki z OUR. Okazało się, że walczyłem z Maxem, którym był najlepszy w Stroke Play i miał najniższy handicap. Mecz był bardzo zacięty, jednak doniosłem ten finałowy punkt. To był mój trzeci tytuł klubowego mistrza Polski".

Zwarci i gotowi

Andrzej Wierzba powoli rozkręcał się w czasie trwania rywalizacji: „Nie przyjechałem na ten turniej w najlepszej formie, co głównie wiązało się z małą ilością czasu na trening. Przez pierwsze dwa dni mocno się męczyłem na polu z moją grą. W półfinale i finale było już dużo lepiej i czerpałem radość z gry. Wydaje mi się, że każdy z chłopaków przed finałem był trochę zestresowany, bo byliśmy tak blisko osiągnięcia czegoś niesamowitego z tą młodą drużyną, a wiedzieliśmy, że czeka nas ciężka walka ze świetną ekipą. Byliśmy zwarci i gotowi na długą walkę i pewni, że jeżeli wyjdziemy z naszą najlepszą grą, uda nam się podnieść puchar czwarty raz z rzędu.

Finał rozpoczął się całkiem nieźle, bo foursomowi, który startował dużo wcześniej niż single i four-ball, udało się wygrać. Byliśmy punkcik bliżej sukcesu. Później przyszedł czas, aby wykonać zadanie po południu. Kluczowymi meczami były singiel Nikolasa i four-ball, w którym grałem z Konradem. Z tego powodu co kilka dołków prosiliśmy o aktualizację, jak idzie Nikolasowi, bo wiedzieliśmy, że bez zwycięstwa w jego meczu będzie ciężko. W naszym four-ballu gra toczyła się równo przez większość pierwszej dziewiątki, jednak pod koniec wygraliśmy siódmy i ósmy dołek, żeby na półmetku prowadzić 2 up. Później wygraliśmy 11. i 12. dołek, prowadząc 4 up i poczuliśmy większy luz. Na czternastce usłyszeliśmy, że Nikolas jest 3 up i byliśmy pewni, że tytuł wraca do Sobieni. Jednak pojedynkującemu się z Nikolasem Maxowi udało się wygrać szesnastkę, a w naszym meczu Bartek zrobił birdie na piętnastce, żeby pomniejszyć naszą przewagę do 3 up. Zaczęło się robić lekko nerwowo i przez moją głowę zaczęły przechodzić scenariusze, jak możemy przegrać ten mecz. Starałem się te myśli jak najszybciej odsunąć, bo wszystko było w naszych rękach. Wydawało się, że four-ball OUR wygra też 16. dołek, bo Bartek miał krótkiego putta na birdie, a ja z sześciu metrów. Chwilę wcześniej usłyszałem, że Nikolas właśnie wygrał swój mecz na siedemnastce i wiedziałem, że mój putt jest na zwycięstwo w turnieju! Dało mi to dodatkową motywację, żeby teraz zakończyć rywalizację i boom, udało się!

To niesamowite uczucie móc po raz kolejny zostać klubowym mistrzem Polski. Przez ostatnie 10 lat Sobieniom udało się wygrać ten tytuł aż siedem razy. To mój piąty tytuł z drużyną i mam nadzieję, że nie będzie ostatnim. Cały ten tydzień jest moim ulubionym w roku i zawsze nie mogę się go doczekać - nie tylko ze względu na bardzo dobrą sportową rywalizację, ale również dlatego, że można to osiągnąć jako team".

Czekając na złoto

Jan Rybczyński z brązowej drużyny gospodarzy, podkreślał ile znaczy dla niego ta rywalizacja: „To najlepszy turniej w kalendarzu PZG. Rywalizacja między klubami jest zacięta, ale zdrowa! W tym tygodniu budzi się cały nasz klub, a klubowicze kibicują rozgrywkom. Z roku na rok apetyt rośnie, mamy już sporo brązu i srebra, ale wciąż czekamy na złoto. Super było zobaczyć wiele znajomych twarzy, kibicujących naszej drużynie! Emocji było co nie miara, ale właśnie po to rywalizujemy i trenujemy. Już nie mogę doczekać się kolejnej edycji".

Mistrzostwa, w których wystąpiło 20 drużyn, rozegrano na starych osiemnastu dołkach Kalinowych Pól. Klubowe MP dywizji 2 odbyły się na początku miesiąca na Lisiej Polanie. Awans do przyszłorocznej walki w grupie mistrzowskiej wywalczyły: Śląski KG, Legia Golf oraz Royal Wilanów. Spadek z grupy mistrzowskiej zaliczyły trzy drużyny: Golf Park Józefów, Olympic i Business GC. Kobiecie zespoły o tytuł zawalczą w sierpniu w Tokarach, seniorzy w Postołowie, master seniorzy w Armadzie, a drużyny juniorskie we wrześniu w Royal Kraków.

Kasia Nieciak

Sport 3104266024